



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimierz Jaskulski

Mój dom był na Chmielnej

Ojciec mój urodził się na kielecczyźnie, w Maleńcu, osadzie przemysłowo-rolniczej nad rzeką Czarną, a mama w oddalonej o 7 kilometrów Rudzie Malenieckiej. Tata zamieszkał w Warszawie około 1905 roku, a mama w 1919. Ojciec był stolarzem artystycznym.

W każde lato ja i moja siostra wyjeżdżaliśmy na wakacje do babci w Maleńcu. Przeważnie zawoziła nas mama. Wyjątkiem był rok 1939, w którym pojechał ze mną brat taty Stefan. Ten ostatni wyjazd, a właściwie epizod z Piotrkowa Trybunalskiego, został mi na zawsze w pamięci. Uciekł nam autobus i musieliśmy na dworcu czekać do następnego dnia. Mnie na dodatek rozboleł ząb. Stryjek pomagał mi uśmierzyć ból siarką z główki zapalki. Gdy to nie pomogło, dał mi papierosa. W taki to sposób po raz pierwszy zapaliłem papierosa, który chyba mi pomógł.

Babcia nasza, Franciszka, wraz z najmłodszym synem Stefanem i swoim bratem mieszkała na górze, przy skrzyżowaniu z drogą do Machor, a ciotka Andzia Czyż z wujem Ignacem i z córkami Helą, Janką i Maryską na drugim, północnym końcu wsi. Mieszkaliśmy u babci, ale przebywaliśmy przez cały dzień u cioci z uwagi na większą przestrzeń, swobodę i towarzystwo rówieśników. W największym pokoju u cioci mieściła się szkolna klasa.

Chyba w 1938 roku w tym rejonie odbywały się manewry wojsk pancernych. W Rudzie Malenieckiej i w Maleńcu pojawiały się dymiące spaliniaki tanki i tankietki, z których włazów wychylały się twarze żołnierzy w czarnych beretach. Przeciwnie oddziały różniły się kolorem znaków na pojazdach i opasek na rękawach. Na polnych drogach zostały po nich tylko ślady gąsienic, a na szosach wyrwy.

Mile wspominam ostatnie lato przed wybuchem wojny. Z chłopakami, wśród sosenek, staczaliśmy boje na piaszczystej górze nad Smugiem. Karabiny mieliśmy zrobione z przyciętych kijów, a nosiliśmy je na paskach z sosnowych korzeni. Starzy ludzie mówili, że jak dzieci bawią się w wojnę to ta na pewno wybuchnie. I mieli rację. Tuż przed samą wojną, która wisiała już na włosku, Janka Czyżówna wraz z innymi parafianami wzięła udział w pielgrzymce do Częstochowy. Wozy, którymi jechali, wyposażone były w płócienne budy, podtrzymywane przez jałowcowe pałaki. Udekorowane były żółtymi kwiatami. Rodziny z niepokojem wyczekiwały na ich powrót. Wrócili cali i zdrowi, przywożąc pamiątki dla siebie i najbliższych.

O wybuchu wojny dowiedzieliśmy się z jedyne w Maleńcu radia, które wystawiał w oknie swego domu majster Czapelski. Pół wsi wysłuchiwało komunikatów. Tam usłyszałem niezrozumiałe mi słowa: „koma dwa, nadchodzi” i to, że zwyciężymy, bo Anglia i Francja przystąpiły do wojny.

Szóstego września, przed wieczorem, mieszkańcy Maleńca zabierając na wozy swój najcenniejszy dobytek schronili się przed nadchodzącym frontem w lesie przy drodze do Koliszów. Ciotka zabrała

główkę od maszyny do szycia i zdążyła jeszcze upiec kilka kurczaków. Po drodze widziałem naszych żołnierzy w rogatywkach, niskiej i trochę tęgiej postury, nie podobnych do tych z defilad i manewrów. Chyba większość stanowili rezerwiści zmobilizowani tuż przed wybuchem wojny. Na jednego, który strzelał z karabinu do niemieckiego samolotu, ludzie krzyczeli by nie prowokował bombardowania wsi. O zmierzchu znaleźliśmy sobie miejsce postoju na leśnej polanie. Ciotka nakarmiła nas kurczakami. Jedzący jednego z nich stryj Stefan naraz krzyknął:

– Andzia, kiedy ty miałaś czas jeszcze je nadziać?

Usłyszeliśmy odpowiedź ciotki:

– Och, to nie nadzieje, tylko widocznie nie oczyściłam mu wąciola!

Z trzepniętego o chojak kurczaka zostały tylko cząstki. Noc spędziłem na wozie w zabranej z domu pościeli. Spałem jak zabity.

Rano 7 września drogą od Rudy Malenieckiej weszli Niemcy. Mosty zostały częściowo uszkodzone, ale nie zahamowało to marszu najeźdźców. Powróciliśmy do domostw. Gdzieś przed wieczorem jakiś oddział zatrzymał się u ciotki. Rozlokowali się w szkolnych pomieszczeniach, a na podwórzu u ciotki ustawili połowę kuchni. Dziecięca ciekawość obcych wzięła górę i następnego dnia rano przyszedłem tam, aby z bliska im się przyjrzeć. Trafiłem na poranną toaletę. Golili się i myli do pasa, z opuszczonymi szelkami. Do mycia używali pachnącego, toaletowego mydła. Palili aromatyzowane papierosy wyjmowane z estetycznych opakowań z folią aluminiową. Nawet częstowali nimi mężczyzn, a dzieciom dawali cukierki. Na początek robili dobre wrażenie.

Przez zerwany upust ze stawu zeszła woda. Na dnie w szlamie zostały ryby. Ludzie wybierali je w różny sposób, niektórzy nawet wjeżdżali wozami i gablami je ładowali. Chyba najwięcej było karpi. Nigdy nie zjadłem tak dużo ryb jak wtedy. Ta ich obfitość była przyczyną śmierci mieszkańca Maleńca, sklepikarza Piejaka, Żyda, który wioził je do Końskich i w drodze został przez Niemców zabity.

Przez Maleniec przemieszczały się liczne kolumny niemieckiego wojska zmierzające na Warszawę, w której byli rodzice z moją starszą o pięć lat siostrą – Olą. Kiedyś, w związku ze zgubieniem przez niemieckiego oficera mapy w przejeździe przez wieś, spędzili wszystkich mężczyzn, których ustawili na placu przed parkanem Górskich i zagrozili rozstrzelaniem, jeśli mapa się nie znajdzie. Na szczęście po pewnym czasie zwolniono zatrzymanych, bo odnaleziono zgubę. Jednak oczekiwanie na egzekucję było dla wszystkich wielkim przeżyciem. My z ciotką uciekliśmy przez pola na Cegielnę. Wróciliśmy, gdy Niemcy odjechali.

Raz wieczorem w czasie deszczu przed babcinym domem zatrzymał się patrol wojskowy na motorze z przyczepą. Wysiadło z niego dwóch wojskowych, w hełmach z goglami i w nieprzemakalnych, motocyklowych płaszczach. Ich widokiem byliśmy przerażeni. Podeszli do naszych przeszkłonych drzwi, otworzyli je i zaczęli coś szwargotać. Okazało się, że chcą kupić gęsi. Babcia ich nie miała i skierowała do Machora.

Mama przyjechała po mnie dopiero w październiku. Komunikacja kolejowa jeszcze nie funkcjonowała. Podróż trwała kilka dni różnymi środkami transportu – pieszo, bryczką a nawet kolejką wąskotorową. W powrotną drogę udaliśmy się furmanką wynajętą na Tamie, którą powoził pan Mizerka. Wóz przykryty był płócienną płachtą, rozpiętą na pałkach. Wyglądał jak pojazd na pielgrzymkę do Częstochowy. Brak mu było tylko dekoracji z żółtych kwiatów. Poza bagażami wieźliśmy do domu niezbędne produkty żywnościowe. Pierwszy nocleg mieliśmy w Opocznie u Lutka Czapelskiego, krawca z Maleńca. Na krzyżówkach w kierunku Nowego Miasta zatrzymano nas na dłuższy czas, ponieważ drogą przemieszczały się kolumny niemieckiego wojska. Czekając tak na poboczu drogi zauważyłem pracujących przy nasypie Żydów w chałatach, jarmużkach na głowach i z długimi pejsami. Nadzorowali ich Niemcy z organizacji Todta. Co „dowcipniejsi” z nich zabawiali się pociąganiem semitów za pejsy lub nawet wyrwywaniem ich. Byłem przerażony tym, co robili. Zajrzeli i do nas pod budę, lecz interesowało ich tylko to czy jesteśmy Żydami.

Ciemną nocą dojechalśmy do Mogielnicy. W pobliżu rozgałęzienia drogi Mizerka zauważył w ciemnościach ogniki papierosów, zapytał więc stojących o drogę na Warszawę. W odpowiedzi usłyszał niemiecki szwargot. Nie wdając się w rozmowę zaciął konia batem wjeżdżając w jedną z dróg. Przy pierwszej napotkanej chałupie mama zdecydowała się w niej przenocować. Po spóźnionej kolacji spaliliśmy jak zabici w kuchni na rozrzuconej na podłodze słomie. Okazało się jednak, że nie wszyscy. Mama usłyszała jakieś szmery. Zapaliła świecę i zobaczyła grzebiącą w naszych bagażach gospodynię. Obudziła nas i zarządziła natychmiastowy wyjazd. Po drodze, gdzieś koło Tarczyna, niemiecki żołnierz wychylając się z okna wyprzedzającego nas samochodu wydarł się na Mizerkę i szpicrutą uderzył go w twarz. Z takimi przygodami dobrnęliśmy do okupowanej, zbombardowanej i wynędzniałej Warszawy.

W związku z tym, że „moja” wojna zaczęła się w Maleńcu, zrelacjonuję tu wydarzenia, jakie w nim przeżyłem w czasie okupacji, przyjeżdżając do rodziny w czasie letnich przerw w nauce. Aczkolwiek słowo „wakacje” nie przechodzą mi przez usta.

Dom moich dziadków stał na samej górze wioski. Chyba wybudował go mój dziadek, tuż przed swoją śmiercią około 1915 roku. Wieczorami, przed nieogrodzonym domem, na ławce i na kamiennych

schodkach zasiadali znajomi i sąsiedzi i prowadzili rozmowy na różne tematy. Słuchałem ich z zainteresowaniem dopóki sen mnie nie zmorzył. Babcia Franciszka zmarła w 1942 roku, kilka miesięcy po śmierci mojego taty. Stryjek Stefan przed wojną zatrudniony był w Maleńcu, w żydowskiej fabryce okuć budowlanych (druciane klubki i haczyki). Był „złotą rączką” – prawie wszystko potrafił zrobić. Obrabiał swoje dwuhektarowe gospodarstwo i pomagał jeszcze swojej siostrze. Poza fryzjerstwem, zajmował się reperowaniem obuwia, a dla siebie nawet robił buty szpilek. Po wojnie poszedł w ślady swojego ojca, a mojego dziadka i pracował w walcowni na stanowisku brygadzysty.

Ciotka Andzia była bardzo spokojną, serdeczną i rozważną osobą. Kiedyś w czasie okupacji chyba organista z Bedlna przyniósł jej na przechowanie sztandar, a może chorągiew kościelną. Ja kręciłem się w tym czasie po domu i fakt ten nie uszedł mojej uwagi. Domeną jej męża była praca na roli i w gospodarstwie ze szczególnym hołubieniem siwej kobyły. Był tradycjonalistą i przestrzegał podziału pracy w zależności od płci. Bardzo religijny, krótko trzymał swoje panienki. Najstarsza ich córka, Hela Barańska, wyszła za mąż za wdowca, Kostka, kasjera PKP w Skarżysku Kamiennej. Po wejściu Niemców Barańscy uciekli ze Skarżyska do Maleńca i zamieszkali u ciotki. Kostek zajmował się wszystkim, na czym można było zarobić. Pamiętam go jako rzeźnika i masarza, producenta mydła, a następnie sklepowego spółdzielni „Społem” w Machorach. W którymś roku okupacji ich synka, małego Józia, wziąłem na kajak i pływałem z nim po stawie. Coś strzeliło mi do głowy i wiosłowałem na stojąco. Zobaczyła to wracająca furmanką od Rudy, Hela. Zaczęła głośno na mnie krzyżeć. Oczywiście zmieniłem pozycję i dopłynąłem do brzegu. Dostałem zasłużoną burę.

Janek Czyż (urodzony w 1929), bratanek wuja, był najbliższym mi malenieckim kolegą. Mieszkał po sąsiedzku, przez drogę. Ojcowie nasi też byli serdecznymi kolegami. Starszy ode mnie przeszło dwa lata, był mi przewodnikiem w poznawaniu zakamarków wiejskiego życia, pracy w polu i w gospodarstwie. Robiliśmy wypadki do lasu na jagody i grzyby, na kąpiel w stawie i spacerów wokół niego, na piaszczyste górkę obok stawu i na Machorowską, z której turlaliśmy się układając na boku. Miejsce do kąpania i wylegiwania się przy brzegu znajdowało się po północnej stronie stawu, tuż przy dużym wystającym z wody kamieniu. Na kanale wpływającej do stawu rzeki Czarnej nauczyłem się utrzymywać na wodzie w pozycji grzbietowej. Gorzej, że robiliśmy to na golasa, ale kto by nosił ze sobą majtki do kąpeli. Skarga przechodzących w pobliżu dziewczyn dotarła do babci, ale wielkiej bury nie było. Pamiętam jak w czasie wojny na nasze kąpielisko przyjechali niemieccy dygnitarze z Końskich. Polaków wygoniono. Tylko sami zabawiali się w wodzie, w czarnych kostiumach, głośno wrzeszcząc, tak że w całej wsi było ich słychać.

Podglądaliśmy ptasie gniazda. Pamiętam, że co do nazwy jednego z gatunków powstał między nami spór. Janek uważał, że są to ćpoki a ja, że szpaki. Jedną z zabaw chłopaków była jazda fajerkami po ścieżkach i po drodze. Fajerkę, najlepiej większych rozmiarów, turlało się przy użyciu specjalnie wykrępowanego drutu z prowadnicą w kształcie litery „u”. Jednym z zajęć dzieciarni były opowiadania o duchach. Takim czysto malenieckim była południca, kobieta, która w białej szacie wychodziła w południe z tarniny na skraju lasu. Chyba był to strach przyganiający dzieci, a może i mężów na czekający w domu obiad. Ja też chwaliłem się warszawskimi duchami, które wychodzą spod chodnikowych płyt. Najwięcej było opowieści ze spotkań z widmami, jakie zdarzały się woźnicom jadącym w nocy do stacji kolejowej w Końskich z wyrobami walcowni lub z machorowskimi kaflami i tekturą.

Przed wojną i przez cały okres okupacji ojciec Janka był sołtysem. Z tytułu pełnionej funkcji dom ich nachodzili przedstawiciele organów ówczesnej władzy. Pamiętam jak w pierwszych dniach po wejściu Niemców przeprowadzane były rewizje. Ja w tym czasie byłem u Janka i zapamiętałem fragment rozmowy z funkcjonariuszem w czarnym mundurze, mówiącym po polsku. Na pytanie – Czy zadowoleni jesteście ze zmian, jakie nastąpiły? – ojciec Janka odpowiedział, że prostemu człowiekowi na wsi nie ważne jest, kto nim rządzi, byle by tylko można było jakoś wyżyć. Ta jego odpowiedź zawsze mnie nurtowała. Czy była prawdziwa, a może nie mógł inaczej odpowiedzieć?

Sąsiadką ciotki od strony północnej była Bajerowa, mieszkająca z córką Zofią i zięciem Aleksandrem Wiadernym. Od południa sąsiadowała rodzina dróżnika Jaskólskiego, których syn, a mój kolega – Lucjan, po wojnie został dyrektorem Zakładów Elektronicznych „Warel”, a następnie Zjednoczenia Przemysłu Elektronicznego „Unitra”.

W części południowej wioski, w sąsiedztwie bóżnicy, chyba od zawsze zamieszkiwali Żydzi. Stanowili oni około 15% mieszkańców. Zajmowali się handlem, rzemiosłem i przemysłem. Właściciele zakładów zatrudniali Polaków z Maleńca i okolic. Najbiedniejsi z nich mieszkali w prymitywnych domach, a swoje potrzeby załatwiali w przyległym, rachitycznym, sosnowym lasku. Dwa sklepiki z „mydłem i powidłem” prowadzili z żonami Machełek i Piejak. Krawiectwem zajmował się Abram. Stolarstwo było w rękach Harsieła Gielniowskiego, o przydomku „Suka” i Szmula Młynarskiego z bratem. Pierwszy ze starszą siostrą Sarą mieszkał po sąsiedzku z moją babką. Dzieliła ich tylko żuźlowa droga do Machor. Drugi poza stolarstwem zajmował się też rolnictwem. Miał konia i chyba krowę. Rytualnym rzeźnikiem był Żyd o imieniu Welwet. Mendel zajmował się handlem drzewem. Było też dwóch szewców. Właścicielem fabryczki okuć okiennych był Duwet. Jego najstarszy syn to –

Fisiel. Córki miały imiona: Ryfka i Fajga. Dzierżawcą walcowni od dziedzica Rudy Malenieckiej – Froelicha był Heineuszer. Miał on same córki. Był przesądny, a może tylko pobożny. Gdy kobieta przeszła mu drogę, zatrzymywał się i czekał aż przejdzie mężczyzna.

Równoległe do drogi, tuż przed walcownią, stał podłużny budynek rytualnej łaźni, z której korzystali przed szabasem i świętami. W lecie woda spływająca ze stawu pod mostem z upustem, była ich naturalnym prysznicem. W stawie nie kąpali się, tylko w rzece u podnóża Machorowskiej Górki. Część mężczyzn starozakonnych chodziła z brodami, w czarnych chałatach i nosiła na głowach jarmułki – czapki w kształcie rondelka z daszkiem, spod których zwisały długie pejsy. Idąc do bóżnicy lub w święto kuczek, zakładali tałesy – pasiaste szale z frędzlami. Zapamiętałem drewnianą kuczkę, w której modlił się stary Duwet.

Przed wojną stosunki sąsiedzkie układały się poprawnie. Jedni byli drugim potrzebni. Czasami dochodziło do jakichś wygłupów, w którym i ja raz uczestniczyłem. Po stryżeniu u Stefana – Janek, Lutek i ja, zamiast na wysypisko, wrzuciliśmy nasze włosy przez otwarte okno do mieszkania Suki. Zrobił się straszny „giewał”, bo stało się to w czasie piątkowej kolacji. Po kolorze włosów ustalono sprawców i skończyło się wielką burą, którą otrzymaliśmy od naszych rodzin. Wy tłumaczono nam, czym dla Żydów jest szabas i że trzeba szanować ich zwyczaje i religię, tak jak byśmy chcieli, aby szanowano nasze. Siostra Gielniowskiego nie miała do nas pełnego zaufania i kilka razy za murem parkanu czaiła się z garnkiem wrzątku. Zdarzył się też przypadek wrzucania ropuchy przez okno. Był w Maleńcu wiejski stróż, który po pijanemu, tym, co mu nie płacili, a byli wśród nich i Żydzi – wybijał szyby.

Po wejściu Niemców, życie naszych sąsiadów podlegało coraz to większym restrykcjom. Pierwszą ofiarą stał się sklepikarz Piejak, o czym wcześniej wspominałem. Aż doszło do najgorszego. W lipcu lub sierpniu 1942 roku wysiedlono do opoczyńskiego getta, w ciągu jednego dnia, wszystkich semickich mieszkańców Maleńca. Kilka dni wcześniej o decyzji tej okupant powiadomił ludność obwieszczeniem z podpisem szefa gestapo i policji z tytułem „dr”. W akcji uczestniczyli żandarmi, policjanci granatowi oraz 6 żydowskich. Akcją kierował, podpisany pod ogłoszeniem, szef policji i gestapo. Żydów zgromadzono na placu przed bóżnicą. Niezdolnych fizycznie do pieszej wędrówki zabito na miejscu. Podobno młodą, obłąkaną kobietę z malutkim dzieckiem na rękę, zastrzelił polski policjant. Stolarz Gielniowski, myśląc, że niemiecki dowódca jest lekarzem, poprosił, aby zbadał jego chorą siostrę. Ten kazał się do niej doprowadzić i na jego oczach zastrzelił ją w łóżku. Na miejscu zabili jeszcze kilka innych osób, w tym Chaimka, szkolnego kolegę Janka.

Ja ze stryjem Stefanem przez cały ten czas siedzieliśmy wystraszeni i zdenerwowani w jego domu, nasłuchując wystrzałów i zerkając zza zasłonek okiennych na drogę. Chyba po południu pojawiła się kolumna Żydów z tobołkami, wypędzonych ze swych domów i ze swojej rodzinnej wsi do getta w Opocznie. Zamordowanych wieziono na wozach. Wieczorem wrócił żydowski policjant, syn Duweta – Fisiel. Rozmawiał ze Stefanem i coś mu przekazał, później dowiedziałem się, że była to tora. Rano domostwa żydowskie były już ogołocone z tego, co stanowiło dla sąsiadów jakąkolwiek wartość. W okresie wojny, oprócz Żydów, policja granatowa zastrzeliła dwóch uciekających Cyganów. Z wyroku organizacji podziemnych pozbawiono życia rodzeństwo C., podejrzane o współpracę z okupantem.

Poza wcześniej wspomnianymi sklepami żydowskimi była w Maleńcu piekarnia w budynku u Lubinieckiego i sklep wędliniarski wraz z restauracją – Tatarskiego (dotąd pamiętam zapach jego wędlin i smaczny salceson). Dla dzieciaków najatrakcyjniejszymi towarami były cukierki – landrynki oraz lemoniada i oranżada z bąbelkami. Sami też potrafiliśmy robić sobie wodę sodową, dodając trochę octu z odrobiną sody. Po zlikwidowaniu sklepów żydowskich, w produkty spożywcze i przemysłowe zaopatrywano się w spółdzielni „Społem” w Machorach.

Poprawiła się sytuacja materialna ludzi na wsi. Niewystarczające zaopatrzenie miast w żywność powodowało, że ceny rosły. Korzystali z tego producenci i pośrednicy. Rozwinał się handel spekulancki. Wiązało się to jednak z dużym ryzykiem. Za nielegalną sprzedaż żywności okupant groził wysokimi karami, a nawet śmiercią. Ludność narażona była na ciągłe kontrole, rewizje i konfiskaty.

W walcowni pracowało kilka pokoleń członków rodzin malenieckich oraz z okolic, w tym mój pradziadek Franciszek, dziadek Franciszek i stryj Stefan – Jaskulscy. Z tych moich dziecięcych lat, dzięki temu ostatniemu, który kilka razy mnie tam zabrał, zapamiętałem tylko niesamowity huk, uniemożliwiający porozumiewanie się, ruch maszyn napędzanych przez koła i pasy transmisyjne, czerwień przechodzącą w biel kęsów walcowanej stali, rozgrzane do czerwoności twarze hutników i walcowników i ciemno rudy pył wbity w ziemię. W czasie wojny poza wynagrodzeniem pieniężnym pracownicy otrzymywali deputat w tym m.in. sztuczny miód.

Od 1936 roku mieszkanie ojca i jego warsztat mieściły się w domu przy ul. Chmielnej 59 w Warszawie. W podwórku trzypiętrowej czynszowej kamienicy zajmował parter oficyny poprzecznej, której ściana szczytowa graniczyła z rozległym terenem Dworca Głównego PKP. Przez wąskie okienka w przedpokojach, stojąc na drabinie, można było zobaczyć Aleje Jerozolimskie, tuż przy ul. Emilii Plater i aptekę Nasierowskiego. Wchodziło się z klatki schodowej przez przedpokój, w którym po lewej

stronie, tuż przy wejściu były drzwi do ubikacji, a po prawej drzwi do spiżarni i do kuchni. Na wprost było wejście do trzech pokoi w amfiladzie. Warsztat zajmował dwa pierwsze, a ostatni przeznaczony był na mieszkanie. Całe życie rodzinne skupiało się w kuchni, a pokój wykorzystywało się na spanie, naukę i okolicznościowe przyjęcia. Przedpokój, z uwagi na jego znaczne wymiary, ojciec przeznaczył na skład desek i dykty.

Tu, na Chmielnej, przeżyłem swoje dziecięce i chłopięce lata, od września 1936 do grudnia 1949 roku z dwoma przymusowymi przerwami – w 1939 roku (około 4 miesiące w Maleńcu) i po Powstaniu Warszawskim (11 miesięcy w Niemczech i w Maleńcu). Od około czwartego roku życia do pełnoletniości. Na chodniku przed budynkiem usytuowany był (przed wojną) przystanek autobusu linii B. W pobliżu budynku nr 57 stał ogromny słup ogłoszeniowy w kształcie walca z żeliwnym cokołem i fantazyjnym daszkiem. Analogiczny pomalowany na szaro z przeznaczeniem na rozdzielnię telefoniczną stał tuż przy budynku nr 61. Oba słupy wykorzystywane były przez dzieci do zabawy w chowanego lub w berka.

Jedynym wejściem i wjazdem do budynku była brama ze sklepieniem łukowym. Od strony ulicy brama była zamknięta drewnianymi, dwuskrzydłowymi wrotami. W jednym z nich był metalowy próg, a nad nim drzwi z małym okienkiem – wizjerem. Na noc były one zamykane na klucz, a sygnałem do ich otwarcia był elektryczny dzwonek, umieszczony na zewnątrz w ościeżu bramy. Korzystali z niego spóźnieni lokatorzy, dając napiwek dozorczy oraz w dzień – policjant dzielnicowy wzywając nim do wyjścia przed dom stróża, aby pokazać mu leżący na chodniku śmieć. Czasami dzwonek do bramy służył do robienia psikusów dozorcóm. Gdy na podwórko ktoś wjeżdżał i brama była otwarta, my dzieci wykorzystywaliśmy stalowy próg skrzydła do jeżdżenia na nim.

Na parterze naszego domu mieszkali państwo Perlińscy z dziećmi Stachem i Janką zwaną przez wszystkich Lalką. Pan Perliński był farmaceutą i pracował w aptece Gesnera w Alejach Jerozolimskich. Małżonka była w młodości krawcową w sławnym domu mody Hersego. Później sporadycznie coś szyła, jednak w pokoju stał manekin i maszyna. Moja siostra Ola przyjaźniła się z Janką i Stachem, a ja kolegowałem się z Januszem, ich ciotecznym bratem, który mieszkając niedaleko na Chmielnej pod numerem 91 był tu częstym gościem. W czasie wojny dom ich był pełen młodzieży, absolwentów gimnazjum Górskiego i studentów medycyny. Tu odbywało się tajne nauczanie oraz wykłady podziemnej szkoły podchorążych. Tuż przed powstaniem trzech z nich – Zbyszek Banaszkiwicz, Tadeusz Pałysewicz i Janusz Bamburski zostali skierowani przez organizację do pracy w policji kryminalnej – kripo. Mamy nasze często dzieliły się swoimi osiągnięciami kulinarnymi. Pamiętam wyśmienity bigos pani Perlińskiej. Po wojnie młodzież wróciła do kraju z jenieckich obozów i w większości pokończyła studia medyczne.

Na podwórku, pod okiem matek, spędzały wolny czas ich pociechy, bawiąc się i grając. Najpopularniejsze były berki, zabawa w chowanego, ciuciubabka, policjanci i złodzieje, gry piłką w zbijańnego i w dwa ognie, gra w klasy, skakanka, sklep, zabawa w lekarza, w Czarnego Piotrusia i w dytki. Dużo radości dawały zabawki, na których samemu można było się poruszać. Były to rowerki na trzech i na dwóch kółkach, hulajnogi oraz sanki. Były i duże, drewniane, kolorowe kółka, za którymi biegano uderzając je pałeczką. Ja miałem hulajnogę na drewnianych kółkach z gumowymi obwódkami, która mnie nie satysfakcjonowała w porównaniu do tych wykonanych przez samych chłopaków, może i z pomocą starszych, które jeździły na stalowych kulkowych łożyskach, rozwijały dużą szybkość, niesamowicie przy tym hałasując. Dla małych dzieci były sanki typu fotelikowego. Ja korzystałem z sanek ojca roboty. Idąc za przykładem innych kolegów, zarzucając długi sznurek przez tylnią oś dorożki i trzymając w ręku pętlę, wykorzystywałem ten pojazd do ciągnięcia mnie po ubitym śniegu jezdni. Kiedyś jakiś dowcipniś idący chodnikiem krzyknął: „Sałata! Z tyłu go batem”. Bojąc się, że dostanę, puściłem sznurek, który zaczepił się o resor. Zeskoczyłem i zacząłem biec za dryndą aż do Żelaznej, przy której dorożkarz z uwagi na ruch musiał się zatrzymać. Odczepiłem sanki i biegiem w kierunku domu. O incydencie nikt się nie dowiedział, ale ja byłem w strachu, że dorożkarz może mi je zabrać, a co gorsza – powiadomić rodziców. Raz z kolegami wybraliśmy się pojeździć z Oboźnej. W okresie zimy tą stromą ulicą nie jeździły pojazdy. Dzieci było co niemiara. Zjeżdżano na czym kto miał. Kłopoty były tylko z kierowaniem sankami. Zabrałem Oli jedną łyżwę, którą przypiąłem do nogi i skutecznie nią sterowałem.

Jedną z wymyślonych przez nas zabaw było podrzucanie na chodniku przed bramą różnych zmyślnych paczek i obserwowanie zachowania się przechodniów po ich zauważeniu. W paczuszkach zapakowane były cegły, kości, a nawet i psie odchody. Reakcja znalazców była różna. Jedni dyskretnie schylali się po paczkę i obojętnie odchodzili, drudzy zaczynali za nią biec, gdy ta raptownie zbliżała się do bramy, za którą ukryci ciągnęliśmy nitkę, do której była przywiązana. Niektórzy w najbliższej bramie zapoznawali się ze znaleźnym. Wyobrażaliśmy sobie ich rozczarowane twarze. Czasami pod naszym adresem ktoś puścił wiązaną przekleństw.

Nasze podwórko, pomimo tabliczki z zakazem, odwiedzali różni grajkowie, a nawet i całe kapele ze śpiewakami. Występowali akrobaci, zonglerzy i magicy, a z okien często leciały moniaki, czasem zawi-

nięte w papierek. Swoje usługi rzemieślnicze jak i handlowe oferowali różni fachowcy, dźwięcznie je reklamując. Po kłatkach przewijali się ludzie proszący o wsparcie. Wśród nich, w czasie wojny, wiele małych, wynędzniałych, żydowskich dzieci, które przez rynsztokowe dziury w murze getta, przedzierały się na stronę aryjską. Dla nich kawałek chleba lub talerz zupy zawsze się znalazł.

Sąsiadujące sklepy były dla nas bardzo interesującymi miejscami, szczególnie gdy można było kupić w nich coś dla dzieci lub wyróżniały się swoją oryginalnością. Pierwszym od bramy na prawo był sklep monopolowy, w którym poza wódkami sprzedawano też konserwy rybne. Drugim był najbardziej przez nas ulubiony sklep papierniczy z kredkami, farbami, arkuszami kartonowymi do wycinania z nich żołnierzy i lalek, wraz z ich ubrankami. Można tam było nabyć wszystko do robienia ozdób choinkowych, balowe maski oraz trochę zabawek. Raz w okresie zimy, wpatrzony w wystawę, licząc językiem mosiężną poręcz. Język o mało mi do niej nie przymarzał. Smak poręczy do dzisiaj pamiętam.

Następnym był sklep rzeźniczy. Tu poza trocinami, zawsze leżącymi na gładkiej terakotowej posadzce, nic mnie nie interesowało. Właściciel stał się sławny, gdy z mieszkania jego przy Chmielnej 80 lub 82, brat sklepikarza wyszedł na gzyms oficyny i groził, że się zabije. Do samobójstwa nie doszło, lecz kilkugodzinne napięcie z nim związane udzieliło się licznym gapiom zgromadzonym przed budynkiem. Za bramą nr 57 był sklep nabiałowo – warzywny rodziców mojego kolegi – Jurka Działkowskiego. W mieszkaniu za sklepem od podwórka toczyliśmy boje jego ołowianymi żołnierzami, których w dwóch wielkościach miał bez liku. Większe były grubsze i miały znacznie więcej ruchomego sprzętu, takiego jak zaprzęgi armatnie, czołgi, karetki i wiele innych.

W następnym domu – Chmielna 55 – była cukiernia, zakład szewski i sklepik spożywczy prowadzony przez żydowską rodzinę. Pamiętam, że mama posyłała mnie do niego po musztardę. Sprzedawczyni nakładała ją z fajansowej beczulki stołową łyżką do mojego naczynia.

Dalej była poczta, na którą chodziłem z mamą. W kierunku przeciwnym, po tej stronie ulicy w domu nr 65 były jeszcze jakieś sklepy, ale one mnie nie interesowały. Wyjątek stanowił jeden, też papierniczy, w którym sprzedawano m.in. pocztówki primaaprilisowe z satyrycznymi rysunkami i wierszowanymi tekstami ośmieszającymi adresatów. Pod koniec wojny tego rodzaju karty znikły ze sprzedaży, a i zwyczaj ich wysyłania nie przyjął się, nie wszystkim było do śmiechu.

Po drugiej stronie, na rogu Sosnowej, była mała mydlarnia państwa Kosińskich, w której mama zaopatrywała się w sztabki mydła do prania. Cięte na mniejsze kawałki służyły do codziennego mycia. Na święta wyciągała, gdzieś głęboko w szafie schowane mydło pachnące „palmolive”, które na wierzchu opakowania miało zieloną, marszczoną bibułę. U Kosińskich kupowano proszek do mycia zębów, pastę do podłóg, watę do uszczelniania okien, żarówki i inne potrzebne artykuły. Zapamiętałem przymocowane do drzwi i ścian emaliowane kolorowe tabliczki z reklamami o następującej treści: „Radion sam pierze”, „Mydło Majdego”, „Żarówki Osram”, „Czy Pan zaopatrzył się już w Olla Gum”. Nie wszystkie były dla mnie zrozumiałe. Pamiętam kawał związany z nazwą firmy żarówek: „Ekspedient pyta starszą niedosłyszącą klientkę z mufką i trzymanym na niej piesku – Osramówkę? Oburzona pani na to: – Ależ panie, mój piesek jest dobrze wychowany i nigdy nie obsr... mojej mufki”. Tu trzeba wyjaśnić, że przed wojną i w czasie okupacji modne było w czasie zimy noszenie przez panie, zamiast torebek, zawieszonych na szyi mufek z ocieplonego materiału lub futra z otworami po bokach, chroniących ręce przed zimnem.

Na przeciwnym rogu, w drewnianej budzie była owocarnia. W niej, poza pięknymi, pachnącymi owocami, można było nabyć orzeźwiające napoje na miejscu jak i na wynos oraz cukierki. Wokół niej, z wejściem od Chmielnej, był skład opałowy, z którego na plecach w wiklinowych koszach dostarczano do domów węgiel. Taniej kosztowało zamówienie go wcześniej w większej ilości i złożenie w piwnicy. Nie wiem dlaczego, nie we wszystkich mieszkaniach naszego domu, była instalacja gazowa – u nas nie było. Przed Świętami Bożego Narodzenia w składzie sprzedawano choinki. W domu, w którym mieszkał Zbyszek Jankowski pod numerem 76, za bramą, po schodkach, była żydowska mydlarnia, w której sprzedawano również artykuły do użytku gospodarstwa domowego, a dalej jakieś dwa lokale handlowo-rzemieślnicze. W kierunku ul. Wielkiej był chyba tylko jeden sklep spożywczo-warzywny i jakaś knajpka.

Na Sosnowej po stronie nieparzystej, pod 3 był bar, dalej jakieś punkty rzemieślnicze, a na rogu Złotej skład apteczny i obok sklep spożywczy, w którym w czasie wojny zaopatrywaliśmy się w artykuły sprzedawane na kartki: czarny o niewiadomym składzie chleb, margarynę i marmoladę, chyba z dodatkiem buraków i może coś jeszcze. Na przeciwnym rogu Złotej była cukiernia „Amerykanka”, a obok niej fryzjer męski i apteka – często przez nas odwiedzana. W czasie wojny Sosnową przy Złotej zamykał od północy wysoki mur getta, na wierzchu, którego sterczały obsadzone w zaprawie szklane słupki. Później granicę getta przeniesiono na Sienną, a od września 1942 na Leszno. Na drugim rogu, przed wojną, był sklep wędliniarski, w którym można było kupić „rozmaitości” (zmieszane różne rodzaje wędlin), chętnie przez nas jadane. Wracając Sosnową trzeba było uważać na tramwaje jeżdżące Złotą. Przy Sosnowej były ich przystanki. Na Sosnowej była drukarnia. Przez szybę wystawową widać było jak zecer wybierał czcionki z kaszty i składał z nich wiersze. Bliżej nas, chyba pod nr 6, był jeszcze

jeden sklep z zabawkami. Z jego wystawy zapamiętałem niemieckich żołnierzy – jak żywych, z wojskowym sprzętem, wykonanych i pomalowanych bardzo dokładnie, zgodnie z oryginałami. Polacy swoim dzieciom nie kupowali zabawek wroga, pomimo że jakościowo były lepsze od naszych.

Zapamiętałem kilka wydarzeń.

Gdzieś na przełomie lat 1939-1940 Niemcy wykryli w domu przy Sosnowej 3 podziemną radiostację. Przeprowadzili rewizję i wszystkich mężczyzn wywieźli do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Prochy zamordowanych, w metalowych puszkach po cyklonie, sukcesywnie przysyłali rodzinom.

Chyba z rok później odkryto na Sosnowej pod nr 1 ognisko tyfusu. Podejrzanych zarażeniem zabrano do szpitala zakaźnego, a dom na pewien czas odizolowano od pozostałych, zamykając wejście, którego pilnował granatowy policjant. Zaopatrywanie mieszkańców w podstawowe produkty spożywcze odbywało się przez frontowe okna, przy użyciu koszyków na sznurkach.

Tuż przed powstaniem, w godzinach przedwieczornych zabito przed naszym domem mężczyznę. Mieszkańców ogarnęła determinacja, ponieważ nie było wiadomo, kim jest ten człowiek. Gdyby się okazało, że jest to Niemiec – to najlepiej byłoby uciec z domu, gdyż w takich wypadkach groziło aresztowaniem mężczyzn. Przyjechała żandarmeria z granatową policją i na opuszczenie domu było już za późno. Lokatorzy, wyczekiwaniu najgorszego, przez kilka godzin siedzieli w mieszkaniach przy zgaszonych światłach, zerkając z za firanek przez okna. Wydarzenia z ulicy przekazywano sobie kontaktując się korytarzem piwnicznym. My cały czas obserwowaliśmy bramę, na którą wychodziło nasze kuchenne okno. Naraz usłyszeliśmy dzwonek do bramy. Furtkę otworzył dozorca i do bramy weszło kilku cywilów, żandarm i policjant. Dozorca wskazał im frontową klatkę, na którą się udali. Po chwili zagrział przeraźliwy krzyk. Wydawało nam się, że to Janka Perlińska broni swego ojca przed zabiciem. Po pewnym czasie intruzi opuścili klatkę i wyszli z domu. Trudno było się zorientować czy ktoś zabrał. Dobiegł do nas jeszcze odgłos strzałów z ulicy. Po informacji, że Niemcy odjechali i zabrali zwłoki, ludzie zaczęli wychodzić z mieszkań na podwórko i dzielić się swoimi spostrzeżeniami. Zgromadzili się przy ołtarzyku, modląc się i śpiewając, dziękowali Bogu za ocalenie. Nagle usłyszeliśmy dzwonek i walenie do bramy. Wszyscy błyskawicznie uciekliśmy do mieszkań, zostawiając poprzewracane stołki i zapalone światło. W drzwiach ukazał się granatowy policjant. Po krótkiej rozmowie z panem Łuszczką – odszedł, a lokatorzy powrócili na podwórko. Jak się później okazało, to podobno, z wyroku podziemia, został zastrzelony Niemiec, kierownik poczty przy ul. Chmielnej 53. Żandarm natomiast zabił w czasie legitymowania, powracającego tuż po godzinie policyjnej, mieszkańca domu Chmielna 57, ojca mojego kolegi, pana Langego. Jeszcze dotąd pozostała mi w pamięci jego sylwetka. Był to wysoki, szczupły, starszy, siwy mężczyzna z długą brodą w płaszczu. Krzyk, który słyszeliśmy w czasie wejścia Niemców, był głosem pani K. wydawanym w czasie konfliktu z mężem. Niemcy zaś udali się do mieszkania dr Hummła, do telefonu. Informacje ich były chyba niepełne skoro po godzinie przyjechała policja po zwłoki uprzednio zabrane. Chyba śmierci pana Langego zawdzięczamy uratowanie przed restrykcjami mieszkańców domów.

W lecie 1944, po południu, wybrałem się, z którymś z kolegów mieszkającym na Marszałkowskiej przy Żłotej, kolejką wąskotorową (na gapę) do Piaseczna. Na plac Unii Lubelskiej powróciliśmy tuż przed godziną policyjną. Tramwajem dojechaliśmy do pl. Zbawiciela. Tu z braku innego, na krańcowym przystanku wsiedliśmy do jednowagonowego „O”, przeznaczonego tylko dla Niemców. W tramwaju był trochę starszy od nas chłopak. Weszli żandarmi, wylegitymowali go i zabrali ze sobą. My siedzieliśmy jak te trusie, nikt się nas nie czepiał. Jednak wystraszeni zdarzeniem postanowiliśmy nie jechać tramwajem tylko pieszo bocznymi pustymi ulicami iść do domu, omijając niemieckie patrole. Raz czy dwa zdarzyło się nam usłyszeć odgłos podkutych wojskowych butów na ul. Poznańskiej i schronić się w bocznej ulicy we wnęce zamkniętej bramy. Godzina policyjna w lecie nie pokrywała się z nastaniem mroku, było całkiem widno. Tak dotarliśmy do Chmielnej, gdzie nasze drogi rozeszły się. Niemiecki strażnik stojący przy wjeździe na teren pocztowego dworca rzucił pod moim adresem jakąś niezrozumiałą uwagę. Zgrzany, zmęczony i trochę wystraszony znalazłem się przed bramą naszego domu. Otworzył dozorca. Za nim stały zapłakane moja mama i siostra. O nic się nie pytały, najważniejsze, że się zjawiłem, a ja skłamałem, że zasiedzialem się u kolegi, którego zegar chyba nawalił. Na podwórku pod kapliczką sąsiedzi modlili się, pewnie i o mój szczęśliwy powrót.

Rzadko, ale zdarzały się burdy powodowane przez panie lekkich obyczajów będące pod wpływem alkoholu. Największe skupiska tych mocno już zdegenerowanych kobiet były w rejonie przylegającym do dworca. Najczęściej, w czasie wojny nosiły na głowach białe turbany. Wiele ubranych było w szaroniebieskie palta, być może uszyte z wojskowego lotniczego sukna lub przerobione z niemieckich szyneli. Na nogach drewniane lub korkowe koturny. Były wyzywająco umalowane – szczególnie usta. Kiedyś na Sosnowej sensację wzbudziła w sztok zalana para, uprawiająca miłość w bramie pod nr 5, niezwracająca uwagi na otaczające ich skupisko gapiów, wśród których nie brakowało i dzieci. Raz widziałem bijatykę takich pań w dorożce, która zakończyła się wypadnięciem obu na jezdnię naprzeciwko domu nr 57 i okładaniem się pięściami i szarpaniem za włosy. Zdziwiająco było to, że jedna z nich, zawsze elegancko ubrana, ze służącą i z synkiem, mieszkała pod nr 65 i była traktowana przez

sprzedawców sklepowych jak dama. Tylko oczom wścibskich dzieciaków nie uchodziło uwagi, że kiedy z miasta wracała do domu, to kilka metrów za nią szedł mężczyzna, który skręcał do tej samej bramy. W kilka lat po wojnie widziałem ją z małym dzieckiem i chyba z mężem, w sielankowej atmosferze, na spacerze w Alejach Ujazdowskich. Ludzie się zmieniają tylko charakter może zostaje ten sam.

Dużym przeżyciem dla mnie były sowieckie naloty na Warszawę. Największy był w nocy z 12 na 13 maja 1943 roku, w którym zginęło około 300 osób a 1000 zostało rannych. Pozostałe były wcześniej 20 sierpnia i 1 września 1942 roku. Skutki nalołów, bezpośrednio dla nas, nie były tragiczne. Najnieprzyjemniejsze było wyrwanie ze snu, przenoszenie się do piwnicy, wyczekiwanie na nalot, nad słuchiwanie gdzie spadają bomby i wstrząsy budynku. Po bombardowaniu miasto było pokryte pyłem. Pamiętam, że oglądałem zniszczenia w rejonie ul. Śniadeckich i Koszykowej. W śródmieściu uszkodzona była trakcja tramwajowa. Przez pewien czas, by zawrócić, tramwaje wjeżdżały tyłem z Marszałkowskiej w Złotą.

Przed wojną, w ramach „Ładu” i na inne zlecenia ojciec wykonywał stylowe meble na wystawy, targi i dla potrzeb różnych inwestorów. Po wyjściu czeladników pozostawał w warsztacie do wieczora. Przychodził dopiero na kolację. Faktycznie wolnym dla niego czasem były tylko niedziele i święta.

Tuż przed wybuchem wojny rodzice byli na wycieczkach nad morzem. Każde w innym czasie. Przywieźli nam pamiątki z bursztynu. Z ich opowieści wynikało, że Niemcy w Gdańsku są do Polaków wrogo nastawieni. Pod adresem uczestników wycieczek padały obraźliwe gesty i słowa.

Czuło się atmosferę przygotowań do wojny. Ludność, organizacje oraz większe zakłady pracy kupowały wojsku sprzęt, m.in. karabiny maszynowe. Szkolono młodzież i dorosłych jak zachować się na wypadek wojny, a szczególnie w czasie ataków gazowych. Przy komitetach blokowych powstawały oddziały obrony przeciwlotniczej LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej). W takim oddziale był i mój ojciec. Pamiętam jak na czas ćwiczeń zakładał na rękę kolorową opaskę przewleczonej przez owalną blaszaną klamrę z wytłoczonym napisem. Były próbne alarmy przeciwlotnicze. Syreny wyły w całym mieście.

Przed wojną rodzice utrzymywali zażyłe kontakty z rodziną i znajomymi. W słoneczne niedzielne poranki często odwiedzaliśmy wujka Kazika Stelmacha w jego owocarni przy pętli tramwajowej na pl. Narutowicza. Do odwiedzin namawialiśmy ojca mając w tym swój ukryty cel. Wujek zawsze częstował nas dużą porcją lodów. Status legionisty dawał mu prawo do koncesji na prowadzenie kiosku w tak ruchliwym punkcie. Kiedyś idąc z mamą w pobliżu pl. Starynkiewicza, zobaczyliśmy maszerujący jezdnią oddział cywilów skandujących: „My chcemy wojny! My chcemy wojny! Wodzu prowadź nas na Litwę!” Wśród manifestujących był i nasz wujek Kazik. I jak na ironię losu, jedna z pierwszych niemieckich bomb, która spadła na Warszawę w 1939 roku, zabiła go w domu, w którym mieszkał przy ul. Grójeckiej. Bardzo go lubiłem.

Rodzice kupili sobie radio – telefunken. W 1939 roku, po wejściu Niemców, razem z tatą zdaliśmy je w komisariacie przy ul. Siennej czy też Śliskiej. Następne radio (marki pionier) pojawiło się w naszym domu dopiero za dziesięć lat.

Ojciec bardzo dużo palił. Zawsze z jego kącika ust zwisał papieros. W warsztacie ojca stało duże, inkrustowane pudełko, wypełnione w jednej części, wcześniej zrobionymi przez nas papierosami, a w drugiej tytoniem. Razem z nim, w rękę lub pod pachą, „przemieszczało się” do kuchni na posiłki, a na noc zajmowało miejsce przy łóżku. To najczęściej ja kupowałem gilzy dwuwatki ze złotym napisem firmy „Sokół” lub podobne, w pudełkach, w których często znajdowały się jakieś niespodzianki dla dzieci. Razem z siostrą co wieczór uzupełnialiśmy zapas do liczby stu, nabijając gilzy tytoniem, używając do tego specjalnej maszynki. W czasie wojny, przy gorszych gatunkach tytoniu, by nie wypadał, końce papierosów przypiekaliśmy na blacie kuchennym lub na drzwiczkach pieca. Wyjęty przez ojca z ust papieros miał zawsze „musztug” (ustnik) zgnieciony w dwóch płaszczyznach: pionowo palcami i poziomo ustami.

O przebiegu wydarzeń w Warszawie w czasie wybuchu wojny wiem niewiele, bo tylko z opowiadań rodziny. Razem z sąsiadami, rodziną Perlińskich i z Olą uciekli z naszego domu, w pobliżu dworca, do podziemi budynku „Wedla” przy Szpitalnej, gdzie były masywniejsze piwnice. Po wydaniu przez pułkownika Umiastowskiego nakazu opuszczenia miasta przez mężczyzn zdolnych do walki i udania się na wschód (7 września), ojciec zabrał siostrzeńca – Tadka Sobczyka i razem dotarli do Międzyzlesia, w którym zatrzymali się u kuzynów. Po kilku dniach wrócili. Wydano sprzeczne rozkazy – jednocześnie nakazywano opuszczenie miasta, a równocześnie apelowano o wstępowanie do Straży Obywatelskiej i Robotniczych Oddziałów Obrony Warszawy. Do tych ostatnich wstąpił na ochotnika Nikodem Wiaderny czeladnik u mojego ojca.

Działania wojenne trwały do 27 września, a 29 wkroczyli Niemcy. Zniszczenia spowodowane bombardowaniami i ostrzałem artyleryjskim były bardzo duże. Z tego co pamiętam to w Śródmieściu zamieniły się w wielkie gruzowiska domy wzdłuż prawie całej ulicy Świętokrzyskiej, duże fragmenty Nowego Świata, Ordynackiej, Siennej, Zielnej, Wielkiej, Złotej, Grójeckiej, Czackiego i wiele, wiele innych. Spalone zostały Zamek Królewski i Katedra, a wraz z nimi straciło życie tysiące ludzkich istnień.

Nasz dom też został uszkodzony – pocisk od strony dworca zrobił wyrwę w ścianie nad naszym mieszkaniem i zawałił część stropu nad przedpokojem

Zaczęła się okupacja. Niemcy we wszystkich domach przeprowadzili rewizje i w naszym mieszkaniu też. Kilka dni po rewizji mama, wycierając w pokoju kurz pod szafą, wyciągnęła coś ciężkiego. Był to pistolet wraz z nabojami, schowany przez Tadka. Na szczęście Niemcy tam nie zajrzeli. Zdenerwowani rodzice przeprowadzili ostrą rozmowę z siostrzeńcem, a mama wieczorem wyrzuciła rewolwer do studzienki kanalizacyjnej.

Sytuacja życiowa, w jakiej się znaleźliśmy nie była wesoła. Robót stolarskich nie było. Ojciec został sam w warsztacie. „Szklił” dyktą okna najpierw w naszym mieszkaniu, a następnie sąsiadom i obcym, aż do wyczerpania się zapasu sklejki. Zima była bardzo mroźna, z dużymi opadami śniegu. Na mieście dorożki i nieliczne taksówki zastąpiły konne sanki. Pamiętam, że i mnie tata zrobił taki mini pojazd. Płozy były z grubej wodoodpornej dytki, lekko do siebie pochylone, z niezbędnymi wycięciami i zawijaszami. Miały poprzeczne drewniane usztywnienia, na których zamocowane było siedzenie z jesionowych listew. Poprzeczka z przodu, pomiędzy zawijaszami, służyła do przywiązania linki. Górek było dużo, stanowiły je pokryte białym puchem sterty gruzu, jakie powstały ze zbombardowanych domów. Gorzej, że zjeżdżało się prosto na jezdnię.

Tata dostał propozycję pracy w pruszkowskiej fabryce ołówków. Nie wyobrażaliśmy sobie, przy stanie jego zdrowia, codziennych dojazdów koleją. Z propozycji nie skorzystał. Stopniowo zaczęły wpadać drobne partaniny z zakresu reperacji mebli. Po pewnym czasie otrzymał zlecenia od Niemców przez firmę „Strug”, a część potrzebnych materiałów z cechu. Z powrotem zatrudnił czeladników. Praca dla Niemców była koniecznością życiową. Dzięki niej udało się ojcu wyciągnąć z Oświęcimia kolegę, stolarza Stefana Rogaczewskiego. Uzasadnił, że jest on konieczny, jako wybitny fachowiec, do zrealizowania niemieckich zamówień. Gdy cudem powrócił i odwiedził ojca, nie poznaliśmy go. Był to nie ten sam człowiek – opuchnięty, wystraszony, załamany psychicznie i milczący na temat obozu.

Na początku okupacji, miał też ojciec wizytę innego kolegi – Paula. Nie pamiętam, czy było to jego imię czy nazwisko. Prawdopodobnie znajomość z nim wywodziła się jeszcze z warsztatu Herodka. Paul był niemieckiego pochodzenia, odwiedził nas w mundurze bahnschutza (ochrony kolei). Ojciec go nie poznał lub udął, że nie poznaje. Ten przedstawił się i wyciągnął rękę. Tata ręki mu nie podał i powiedział – „Panie Paul, w tym mundurze pańska gęba kułaka się prosi”. Zmieszany „kolega” wyszedł bez pożegnania. Przez kilka dni baliśmy się, że Paul zemści się. Jednak więcej się u nas nie pojawił. Ojciec był człowiekiem pogodnym i rzadko na kogoś podnosił głos.

Mama postanowiła kupić mi ubranie do komunii. Od jakiegoś znajomego dowiedziała się, że tanio można je nabyć w getcie i że on wie jak można dostać się tam bez przepustki. Kilka dni później o świcie spotkaliśmy się z nim w rejonie ulicy Muranowskiej. Przeprowadził nas przez gruzy i ruiny, biegiem omijając polskich i żydowskich policjantów, którzy pałowali licznie przedzierających się tam osobników. Bezpiecznie dotarliśmy do wnętrza żydowskiej dzielnicy. Sami byliśmy w wielu mieszkaniach, w których oferowano nam ubrania, lecz żadnego z nich nie kupiliśmy. Przy okazji napatrzyłem się na warunki, w jakich żyli tam ludzie. W większości mieszkań nie było podłóg, drzwi z futrynami ani tapet. To wszystko wraz ze zbędnymi meblami w czasie zimy posłużyło za opał do ogrzania izb, w których przy „kozie” gromadziły się całe rodziny. Do gotowania wody używano elektrycznych grzałek, włączanych w godzinach dostarczania prądu. Na ulicach dziesiątki wynędzniałych ludzi siedziało na chodnikach prosząc o wsparcie. Pamiętam jak po Grzybowskiej, nie zwracając uwagi na żebrzących, w promieniach słońca spacerowali syci, ubrani w futrzane palta ich pobratymcy. Z rynsztoków usuwano nagie ludzkie ciała, wywożąc je na ręcznych dwukołowych wózkach. Jak się później dowiedziałem, nadzy zmarli pochodzili z biednych rodzin, których nie stać było na pogrzeb, a za odzyskane ubranie mogły kupić sobie coś do jedzenia. Na koniec wstąpiliśmy jeszcze do państwa Szwedkowiczów, mieszkających w getcie na terenie fabryki Jarnuszkiewicza, w której pracował kolega ojca. Z getta wyszliśmy przez bramę róg Grzybowskiej i Żelaznej. Do wyjścia wystarczyła kenkarta i szkolna legitymacja.

Z mebli wykonanych przez ojca w czasie okupacji pamiętam „samograj”, zamówiony przez firmę kuśnierską, który przez dłuższy czas stał u nas w pokoju i często był przez Olę i przeze mnie używany. Dzięki niemu wiele przedwojennych piosenek utrwaliło się w naszej pamięci. Wieczorami po kolacji, z braku radia, całą czwórką zasiadaliśmy przy stole i na głos czytana była jakaś przygodowa książka. Szczególnie podobał nam się „Huragan” W. Gąsiorowskiego, a zwłaszcza zwrot używany przez starego wiarusa Żubra do swojej żony: „Jasia nie gadaj!” Czasami przy mamy dobrym humorze, stosowaliśmy go, pozwalając sobie na taką małą poufałość w stosunku do naszej mamy – Janiny.

Kiedyś w sobotę przed Wielkanocą, na mamy polecenie, miałem pójść do kościoła ze święconką. W wypchanych kieszeniach jesionki przechowywałem papierosy i akcesoria do ich palenia. Przed wyjściem chciałem ukryć je w przedpokoju, między deskami, ale mama to zauważyła. Zobaczyła papierosy i zawołała ojca. Wypytałi mnie o ich pochodzenie i co z nimi robię. Przyznałem się do ich palenia z Wojtkiem Pożogą, a czasem i z dziećmi z jego podwórka, w piwnicach domu Chmielna 55.

Wojtek podkradał je rodzicom, którzy w sąsiedztwie naszej kamienicy mieli budkę z gazetami i papierosami, a ja je przechowywałem wraz z dwoma fikkami i zapalniczką. Mama uznała, że w takiej sytuacji nie jestem godzien pójść do kościoła. Tego dnia na spotkaniu z kolegami przy śledziku ojciec poczęstował wszystkich „moimi” papierosami, oznajmiając, że są to jego syna, jednocześnie zapraszając i mnie do ich zapalenia. Ze wstydu zaczerwieniłem się i zrobiło mi się strasznie głupio. Jednocześnie i rodzice Wojtka wykryli jego działalność, lecz u niego skończyło się to na użyciu pasa, po którym przez wiele dni nie mógł siedzieć. Nie wiem czy Wojtek później palił, ale ja po drobnych kilku próbach, w przeciwieństwie do mojej siostry, nigdy już papierosa nie brałem do ust.

Ze współpracujących z tatą inżynierów najczęściej stykałem się z Tadeuszem Głogowskim. Był synem maszynisty kolejowego, jego matka mieszkała na Chmielnej, niedaleko od nas. Z kilkukrotnego pobytu w USA przejął wiele zwyczajów amerykańskich, m.in. bicie pięścią w twarz osób, które stawały mu na drodze. Pamiętam jak na naszej klatce schodowej znokautował dostawcę materiałów, który namolnie upominał się o pieniądze, a z którym ustalił późniejszy termin ich zwrotu. Dostałem od niego album na niemieckie znaczki pocztowe, ze sprężynującym grzbietem, umożliwiającym wyjmowanie kart.

Mile wspominam ojca współpracownika – Jana Gollera, rzeźbiarza. Nosząc do jego pracowni elementy do snycerki, często przyglądałem się jego pracy i wsłuchiwałem się w rozmowy, jakie prowadził z odwiedzającymi go znajomymi na temat równości i sprawiedliwości społecznej. On jeden, po śmierci ojca, zadeklarował nam pomoc. Powiedział, że zawsze możemy na niego liczyć i przyrzeczenia dotrzymał. W 1945 roku zajął i zabezpieczył nasze mieszkanie.

Dobrym ojca kolegą był Bolesław Rybka, z którym wykonywał wiele prac. Ceniłem go za jego determinację w zdobywaniu pozycji zawodowej, rodzinnej i społecznej. Jako 10-letni sierota znalazł się w Warszawie. Imał się wszelkich zajęć. Spał po piwnicach i strychach. To, co dorywczo zarobił nie starczało mu na opłacenie mieszkania i naukę zawodu. Skończył jednak szkołę stolarską i zdobył zawód, który dał mu możliwość przyzwoitej egzystencji. Tuż przed wojną kupił działkę na Okęciu, na której postawił drewnianą budkę i urządził ogródek. W czasie wojny często odwiedzaliśmy Rybków na ich działce, powracając objuczeni podarowanymi warzywami. Należał do podziemnej organizacji, walczył w powstaniu.

Zażyłe stosunki łączyły rodziców Teofilem Jasińskim – stolarzem. Mieszkał z żoną Heleną w nowo wybudowanym domu na Wawrzyszewie, przy obecnej ul. Bajana. W owym czasie był to zachodni skraj osady i graniczył z piaszczystą równiną zwaną Piaskami, porośniętą „wydmową” roślinnością, ciągnącą się aż do Powązek. Pamiętam jak w czasie jednego z pierwszych u nich pobytów ich syn zabrał mnie na piaszczystą górę ze stalową wieżą triangulacyjną. Cel naszej wycieczki, jak się później okazało, raczej nie był turystyczny. Starszy ode mnie Zbyszek wygrzebywał z piasku zasypane karabinowe naboje, pozostałość po polskich żołnierzach z września 1939 roku, a ja mu w tym pomagałem.

Odwiedziny w domu Jasińskich szczególnie częste były po śmierci ojca. Zapraszając nas do siebie chcieli w jakiś sposób pomóc nam chociażby przez odetchnięcie świeżym powietrzem i obdarowanie plonami z ogródka. Dzięki nim mama kupiła mi wojskowe, nowe buty, podbite gwoździami. Dumny byłem z tego nabytku, bo mogłem zaimponować czymś moim kolegom. U Jasińskich czasami spotykaliśmy grono młodzieży, przyjaciół Zbyszka. Często śpiewano piosenki. Szczególnie zapamiętałem nieprzeciętnej urody, z pięknym głosem, jego sympatię. Tuż przed powstaniem w ich domu przy wejściu i przy oknach leżały pistolety. Powiedzieli nam, że przygotowani są w każdej chwili do walki i gdyby Niemcy przyszli to żywych ich nie wezmą. Pokazali nam zmagazynowaną broń w piwnicy. Nie bali się nas, mieli pełne do nas zaufanie, nie wiedząc, że ja byłem w podziemnym harcerstwie. To było nasze ostatnie z nimi wojenne spotkanie. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że stracili w powstaniu ukochanego syna Zbyszka ps. „Powstaniec”, dwudziestoletniego absolwenta liceum teletechnicznego, żołnierza AK zgrupowania „Żyrafa”. Pan Jasiński – legionista, przez cały okres okupacji działał w konspiracji. W domu ich odbywały się szkolenia wojskowe, był prowadzony nasłuch radiowy oraz kolportaż podziemnej prasy. Ze wszystkich znajomych, których znałem z czasów okupacji, tylko chyba ta rodzina, cicha, skromna i nadzwyczaj uczciwa, była jedną w całości i bez reszty tak mocno zaangażowaną patriotycznie w pracy i walce o Polskę.

Tradycją już się stało, że w zimy po kolei prawie wszyscy chorowaliśmy. Przeważnie były to przeziębienia, anginy lub grypy. W zimie 1941/42 tata przeziębił się i zachorował na zapalenie płuc. Przez około dwa tygodnie leżał w łóżku, będąc pod stałą opieką lekarza. Ostatnią jego lekturą była trylogia Sienkiewicza. Stan zdrowia nie poprawiał się. W niedzielę odwiedzili go jeszcze koledzy, a we wtorek 25 lutego 1942 roku o godzinie 17 zmarł. Pogrzeb odbył się 2 marca. W ceremonii na Bródnie uczestniczyło bardzo wiele osób. Żal było ojca. Nie było wiadomo jak sobie bez niego poradzimy. W chwili śmierci miał 50 lat i 7 miesięcy. Pozostawił 41-letnią mamę, córkę 16-letnią i mnie – 10-letniego chłopaka.

Po śmierci taty mama poważnie zachorowała. Lekarze podejrzewali niesprawność wątroby i nerek. Przepisywali różne lekarstwa w tym i picie nicejskiej oliwy. Okazało się jednak, że była w poważnym stanie, o czym wiele lat później powiedziała mi Ola.

Chęć dowiedzenia się, jak potoczą się nasze losy skusiła mamę do zaproszenia Cyganek. Przyszły dwie – jedna przy stole układała karty, a druga w swojej długiej spódnicy rozsiadła się na kozetce. Co wywróżyły mamie i Oli tego nie pamiętam, ale mnie powiedziały, że zostaną budowniczym wielkich domów. Częściowo przepowiednia się sprawdziła, współprojektowałem 10-piętrowy biurowiec SPEC-u. Natomiast mamie nie wywróżyły, że zginą jej nowe pantofle stojące pod kozetką, których brak, po ich wyjściu, zauważyła. Nie przyniosły rezultatu poszukiwania. Cyganki jak i buty zniknęły.

Dochód z dzierżawy warsztatu był niewystarczający aby utrzymać naszą trójkę. Mama musiała imać się różnych zajęć. Od czasu do czasu wyjeżdżała do miejscowości, w których taniej można było kupić żywność. Część sprzedawała znajomym, a część pozostawiała dla nas. Często jeździła na wsie położone dalej od szlaków komunikacyjnych. W rękach i na plecach tasczyła zakupione produkty, narażając się na ich konfiskatę i pobicie przez żandarmów. Kilkakrotnie na dworcu w Koluszkach, w drodze z Maleńca, wraz z mamą i Olą przeżywalismy koszmar oczekujących na przesiadkę. Stacja usytuowana była na „wyspie” pomiędzy torowiskami. Dojście do niej było po schodach z pomostu nad torami. Co pewien czas zatłoczoną poczekalnię odwiedzali butni niemieccy funkcjonariusze, przenikliwie przypatrujący się siedzącym na ławkach i na podłodze podróżnym. Wyrywkowo ich legitymowali i rewidowali bagaż. Staraliśmy się nie rzucać w oczy i unikać ich wzroku. Wybranych ludzi zabierali ze sobą do wyjścia, krzycząc i popychając kolbami karabinów. Wielu z podróżnych wracało bez bagażu albo nie wracało wcale. Strasznie się bałem i bardzo się denerwowałem. Uciec z dworca nie było gdzie, bo cały był obstawiony. Raz tylko, gdy odwołano pociąg, skorzystaliśmy z gościny córki państwa Kalinowskich (sąsiadów z Chmielnej) – dentystki mieszkającej niedaleko dworca.

W czasie istnienia Getta skontaktował się z mamą, być może telefonicznie, przebywający tam z rodziną Żyd, znajomy ojca, Tonkin (Temkin?), prosząc o zgodę na przesyłanie pocztą na nasz adres z różnych miejscowości pięciokilogramowych paczek z mąką. Zgodziła się i tak przez kilka miesięcy, co kilka dni, podjeżdżał pod dom konny, czerwony ambulans pocztowy z napisem „Deutsche Post Osten”, a pocztylion przynosił jedną lub dwie jednakowego formatu paczki, które skrzętnie chowano pod kozetką w kuchni. Najczęściej przysyłano je z Lubelszczyzny (Krasnystaw, Hrubieszów). Raz w tygodniu wieczorem zabierano paczki rykszą towarową w nieznanym kierunku. Chyba jedną z dwudziestu paczek jako ekwiwalent pozostawiano nam. Z mąki tej mama piekla nam w brytfannie chleb, który zjadaliśmy posmarowany marmoladą kartkową lub rabarbarową zrobioną przez mamę.

W dniu wybuchu powstania w Getcie, a było to 19 kwietnia 1943 roku, mama załatwiała jakieś interesy handlowe w sklepie z przyborami szewskimi Mijasów (też z Maleńca) przy ul. Świętojskiej. Ja czekając przed sklepem zauważyłem nagle grupę niemieckich żołnierzy ustawiających działą w stronę Getta. Po drugiej stronie Bonifraterskiej stał mur, za którym była dzielnica żydowska. Skręcał on w zachodnią część Świętojskiej graniczącej z Ogrodem Krasińskich. Od strony Getta dało się słyszeć strzały. Niemcy uruchomili działą i zaczęli strzelać w żydowskie domy. Wystraszeni i zdenerwowani, wróciliśmy do domu. Strasznie żał nam było ludzi tam ginących i jednocześnie byliśmy pełni uznania, że zbrojnie przeciwstawili się Niemcom. Dotąd Żydzi uważani byli za ludzi bojaźliwych i niezdolnych do walki. Powstanie zostało stłumione 16 maja 1943r. Zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, domy spalono i zburzono. Getto stało się wymarłą pustynią w wielkim mieście.

Przez okres kilku miesięcy, przed Powstaniem Warszawskim, na kilka godzin dziennie, w czasie naszej bytności w szkole, mama wynajmowała pokój na produkcję pastylek sacharyny.

W drugim roku okupacji, w listopadzie lub w grudniu 1941 roku, w ramach tworzenia w rejonie ul. Królewskiej dzielnicy tylko dla Niemców i zmniejszania obszaru Getta, siostrę mamy Barbarę Jurek wysiedlono do żydowskiego domu po nieparzystej stronie ulicy Sapieżyńskiej. Otrzymany pokój z maleńką wnęką kuchenną był w oplakany stan. Pomimo pracy w ZUS-ie było jej ciężko. Dorabiała wykonując broszki z cienkiej tkaniny w formie miniaturowych bukietów kwiatów malowanych i usztywnianych bezbarwnym lakierem. Robiła też z cienkiego sznurka torby na zakupy na specjalnej desce z wbitymi gwoździemi. Moje niedzielne wizyty u niej związane były z odbiorem znaczków pocztowych, wyciętych dla mnie z wyrzucanych kopert. Ja je segregowałem, odklejałem, co ciekawsze włączałem do swojej kolekcji, a reszta szła na wymianę z kolegami lub na „handel”. Często ugaszczała mnie plackiem z tartych ziemniaków zmieszanych z cebulą, zapiekanych w garnku. Miała też znajomych, którzy ją odwiedzali, m.in. pana Balińskiego, biletera z kina „Uciecha” na Złotej, który kilka razy wpuścił mnie bez biletu. Pamiętam jak w niemieckiej kronice filmowej pokazali „otumanionych” przez Amerykanów Polaków, którzy w morderczej walce zdobyli bronione przez „szlachetnych niemieckich żołnierzy” Monte Cassino. Chyba nie zdawali sobie sprawy, jaką radość tą informacją sprawili Polakom. Chodzenie do kina w tym czasie nie należało do rzeczy chwalebnych. W początkach okupacji puszczały w kinach wiele polskich przedwojennych komedii, m.in. „Dorożkarz nr 13”, „Zapomniana melodia” i inne. Z filmów niemieckich zostały mi w pamięci „Żółta Febra” i „Przygody barona Munchausena”.

Zawsze staraliśmy się jednak wejść „na lewo” lub do kina tańszego, na przykład do „Kinematografu Polskiego” (w czasie okupacji zwany „Miejskim”) przy ul. Długiej 25.

W czasie oblężenia Warszawy, we wrześniu 1939 roku, szkoła na Złotej, w której ukończyłem przed wojną pierwszą klasę, została zbombardowana. W październiku zacząłem naukę w Publicznej Polskiej Szkole Powszechnej nr 101, najpierw przy ul. Miedzianej 8, a następnie w 3-piętrowym budynku przy ul. Zgoda 15, którego okna wychodziły również na ulicę Sienkiewicza i Marszałkowską. Szkoła zajmowała drugie i trzecie piętro. Na parterze znajdowała się kawiarnia i sklepy, m.in. z materiałami i chyba dywanami Chojeckiego, a także ze sprzętem medycznym. Pod przykrywką różnych kursów zawodowych zorganizowano tu też Tajne Gimnazjum Hoffmanowej.

Dwukrotnie na okres kilku tygodni zajęcia lekcyjne były przenoszone do budynków przy ul. Sewerynow 5 i na Szucha pod nr 9. Wiązało to się z zajmowaniem naszego budynku dla potrzeb niemieckich szpitali wojskowych, kiedy Niemcy na froncie wschodnim dostawali mocno w skórę.

Z czasów, kiedy chodziłem do IV klasy (1942 roku) mile wspominam Janusza Buze, bardzo sympatycznego kolegę. Drobny, niższy, wyglądał na znacznie młodszego ode mnie. Ładnie rysował. Naszym wspólnym zainteresowaniem była filatelistyka. Często razem po szkole chodziliśmy na Poczta Główną na pl. Napoleona, gdzie spotykali się tacy jak my i wymieniali się znaczkami lub nimi handlowali. Niemcy dla siebie mieli wydzieloną część po prawej stronie od wejścia. Tam też sprzedawane były pojedyncze znaczki lub całe serie okolicznościowe, często z ozdobnym stemplem dnia wydania. Ta część poczty bardzo nas interesowała, ponieważ nabyte tam znaczki po cenie nominalnej, po odejściu od okienka zwiększały swoją wartość. Czasami mówiąc kilka słów po niemiecku udawało nam się coś kupić. Każdego roku 20 kwietnia, z okazji urodzin Hitlera, wydawane były okolicznościowe „marki” z jego podobizną.

Plac Napoleona słynął z nielegalnego handlu walutą i złotem. Któregoś dnia, chyba w roku 1944 (może w 1943), gdy z Januszem wracaliśmy z poczty, nagle na ul. Jasnej zaczęły zatrzymywać się „budy”, a z nich wyskakiwać niemieccy żołnierze z formacji lotniczych, z bronią skierowaną do przechodniów. Przyspieszyliśmy kroku i znaleźliśmy się w domu przy ul. Złotej 3 lub 5, w którym mieszkał Buze z rodzicami. Tu już biegnąc po schodach dopadliśmy do jego mieszkania. Ciągłe mieliśmy w uszach odgłos podkutyh butów i niemieckie okrzyki. Wydawało mi się, że Niemcy nas gonią. Niestety, mieszkanie Janusza było zamknięte i musieliśmy pobiec wyżej. Schowaliśmy się we wnęce drzwi prowadzących na strych, słuchając czy jeszcze nas gonią. Po dość długim oczekiwaniu odważyliśmy się wyjść na ulicę, aby zorientować się w sytuacji. Ale najedliśmy się strachu. „Bud” już nie było i mogłem pójść do domu. O łapance, w której pierwszy raz brali udział lotnicy, głośno było w Warszawie.

Sytuacja materialna po śmierci ojca znacznie się pogorszyła. Musiałem i ja zdobywać pieniądze na wydatki związane z nauką, jak i zaspokojenie własnych potrzeb. Podpatrując starszych kolegów zajmujących się sprzedażą pastylek na odkażanie jamy ustnej i ja poszedłem w ich ślady. Zaopatrzyłem się w odpowiedni zapas pastylek, które trzymałem w kieszeni w metalowym pudełku i w czasie przerwy handlowałem nimi. Z biegiem czasu zastąpiłem pastylki cukierkami ślazowymi leliwa, a następnie irysami. W hurtowni przy ul. Ptasiej znalazłem irysy znacznie cieńsze od dotąd sprzedawanych. Po obliczeniu ile ich wchodzi na kilogram doszedłem do wniosku, że z ich zbytu nawet po tańszej cenie będę miał większy zysk. Handlowaliśmy też fosforyzowanymi w kilku kolorach broszkami. Zdarzało się nam wypożyczać na pocztę odpłatnie wieczne pióra. W ten sposób zdobywałem pieniądze na zaspokojenie swoich skromnych potrzeb.

Miałem też dwóch dobrych kolegów ze starszej o rok klasy – Zbyszka Jankowskiego i Bogdana (Bogusława) Zdana, z którymi często spotykałem się w drodze do szkoły. Mieszkali w pobliżu na Chmielnej. Z Bogdanem mieliśmy wspólne zainteresowania filatelistyką, fotografią i łażeniem po mieście. Razem z rodzicami i starszym bratem Mirkiem (studentem) mieszkał przy ul. Chmielnej 72, w lokalu dwupokojowym, na II piętrze we wschodniej oficynie. Miał bardzo sympatycznych rodziców. Mama prowadziła gospodarstwo domowe, a tata był krawcem, szył w kuchni. Nawet skorzystałem z jego usług i z zakupionego przez mamę materiału uszył mi ubranie. Bogdan starszy o 1,5 roku, był dla mnie autorytetem, szczególnie w sposobie ubierania się. Bardzo dużą wagę przywiązywał do krawata, eksponując jego główkę przez stosowanie specjalnych spinek do kołnierzyka koszuli. On, znacznie ode mnie śmielszy, łatwo nawiązywał kontakt z dziewczynami. Pamiętam jak na skarpie ul. Agrykola, wiosną 1944 roku, poznaliśmy dwie, z którymi umówiliśmy się w Parku Skaryszewskim przy muszli koncertowej. W muszli była sterta ławek. Dla nas bieganie i skakanie po nich było największą atrakcją. Jedna z dziewczyn, zaczepiając o jakiś pręt rozdarła spódnicę. Spotkanie zakończyło się szukaniem igły z nitką, która umożliwiłaby jej powrót do domu.

Drugą i ostatnią „randkę” przed powstaniem mieliśmy z „Czarną” – Kryską Żółkowską i jej koleżanką. Mieszkały w tym samym domu co Bogdan. Koleżanka, jej rówieśniczka, mieszkała razem z nią (podobno była ukrywającą się Żydówką). Zaopatrzeni w cukierki, wybraliśmy się na spacer Alejami Jerozolimskimi, Solcem, Tamką i chyba Świętokrzyską do Zielnej. Tu na wysokości Siennej na wprost

nas pojawiło się kilku dryblasów i jeden z nich bykiem uderzył mnie w twarz. Przeciął mi wargę i zakrwawiony nie wiele myśląc uciekłem do domu. Jak się później dowiedziałem był to „herszt” młodzieżowej bandy z Chmielnej róg Wielkiej, znacznie od nas starszy, który mieszkał w tym samym domu co ciotka Kryśki i znał ją. Może mu się podobała, bo była bardzo ładna, z czarnymi bujnymi włosami. Bogdana też znał, bo czasami bywał w tym domu. Od tego czasu do szkoły na Zgoda chodziłem omijając ten rejon.

Bogdan nauczył mnie grać w szachy. Sami je nawet wykonaliśmy, wycinając z kartonowych arkuszy i sklejjając. Razem robiliśmy klasery na znaczki, z grubego kartonu i przylepnej papierowej taśmy. Byliśmy częstymi klientami sklepów papierniczych przy pl. Napoleona – Siudeckiego i „Uranii” na Zgoda. Z rzadka odwiedzaliśmy wesołe miasteczka. Najbliższe było na placu u zbiegu ulic Chmielnej i Twardej. Były tam różnego rodzaju karuzele, huśtawki, mierniki siły i pierwowzory „jednorękiach bandytów”. Z tych ostatnich najczęściej korzystaliśmy. Wystarczyło wrzucić 5 groszy i dzięki zręczności można było wygrać kilka lub kilkanaście razy więcej. Zwykle jednak się przegrywało. Dla chłopaków z innej dzielnicy niebezpieczne było zapuszczanie się do obcego „lunaparku”. Pamiętam, że na „Wenecji” przy Wolskiej obok Młynarskiej i na Puławskiej przy Szustra przed „oberwaniem” uratował nas skok do tramwaju. Skoki i wyskoki do tego środka lokomocji mieliśmy niezłe opanowane.

Z kolegami chodziłem kąpać się w Wiśle po praskiej stronie, w rejonie Mostu Poniatowskiego lub w betonowym basenie przedwojennego klubu „Sokół”. Za basenem aż do mostu kolejowego ciągnęła się płatna plaża z solarium, a szatnia i natryski mieściły się w szopie, której tyły wychodziły na polną dróżkę i na nią też spływały pomyje. Ściana natrysków kończyła się około 20 centymetrów nad ziemią. Dużo było chętnych do podglądania myjących się pań. Obserwacjom tym przeszkadzał spacerujący z długą lagą dozorca, który lał w tyłek ciekawych, omijając tych, co dali mu w łapę złotego.

Po południowej stronie mostu była bezpłatna plaża z wieloma prywatnymi przystaniami z blaszanych beczek, do których przymocowane były drewniane pomosty, a na nich stały budki. Tu można było wypożyczać leżaki, kajaki i łodzie – m.in. „hamburki”. Z tych ostatnich kilkakrotnie korzystaliśmy, udając się w górę rzeki, by po zmęczeniu się wiosłowaniem, z powrotem dać się unosić prądowi aż do przystani. Znacznie lżej niż kajakiem pływało się hamburką, w której siedziało się na wózku, a wiosła opierały się na dulkach. Raz popłynęliśmy aż do Bielan. Powrót kosztował nas wiele wysiłku. Pamiętam jak kiedyś, chyba w lipcu 1944 roku, popisywałem się przed kolegami umiejętnością pływania na wznak. Niespodziewanie zniósło mnie na sam środek Wisły i ujrzałem przed sobą filary mostu. Wystraszyłem się, a pływający w pobliżu mężczyzna posłał mi wiązanekę i kazał natychmiast płynąć do brzegu. Przekreśliłem się na brzuch i resztkami sił dopłynąłem. Bałem się jednak opuścić nogi, bo nie byłem pewien, czy dotkną gruntu. Był to mój pierwszy i ostatni wyczyn pływacki w Wiśle.

Po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy spalili dom Bogdana. Do Warszawy już nie powrócił. Razem z rodzicami zamieszkał w Łodzi.

Z moich nauczycieli dobrze zapamiętałem: Wysmyka, Gabrielową, Ptaszyńską, katechetę, a mniej nauczyciela od gimnastyki i kierownika szkoły. Józef Wysmyk, przedwojenny kierownik szkoły na Złotej, był tu nauczycielem i przez kilka lat opiekunem naszej klasy. Czytał nam na lekcjach literaturę Gustawa Morcinka. Po Powstaniu Warszawskim wywieziony został do Niemiec, gdzie zginął.

Pani Gabriel uczyła nas polskiego i śpiewu. Była osobą dystygowaną. Na każdą lekcję śpiewu uczniowie taszczyli do sali jej instrument – zdezelowaną fisharmonię.

Pani Ptaszyńska, nauczycielka geografii, na tajnych kompletach w mieszkaniu na Siennej prowadziła lekcje historii i geografii. Dużo nam mówiła o krajach skandynawskich, które zwiedziła przed wojną. Szczególnie podkreślała panującą tam uczciwość. Pamiętam jak któregoś dnia przez otwarte okno dobiegł nas przeraźliwy krzyk żołnierza niemieckiego. Zobaczyliśmy jak stojący po przeciwnej stronie ulicy, w gruzach, boso i tylko w bieliźnie, woła o pomoc. Przechodzący granatowy policjant władował go do dorożki z opuszczoną budą. Mogliśmy jedynie domyślać się, kto był sprawcą rozbrojenia i zabrania niemieckiego uniformu.

Ksiądz katecheta z kościoła parafialnego Św. Krzyża, którego nazwiska nie pamiętam, uczył nas religii, przygotowywał do komunii oraz prowadził rekolekcje. W zakrystii kościoła wypożyczał nam schowane w dużej skrzyni patriotyczne książki.

Na korytarzu szkoły gimnastykę prowadził nauczyciel, którego podejrzewaliśmy, że był wojskowym. W czasie przerwy pilnował porządku i nikt nie chciał być skarcony jego wzrokiem. Kierownikiem szkoły, jak mówiono, był reichsdeutsch. Pamiętam, że za odmówienie jedzenia ohydnej zupy z buraków kilku z nas zostało wezwanych do jego gabinetu, gdzie oberwali porządne lanie. Dokarmiano nas dwoma rodzajami zup: buraczaną i z kwaszonej kapusty, obie jednak nie nadawały się do jedzenia.

Zakres nauki dostosowany był do zamierzeń okupanta, planującego stworzyć z nas potrzebną mu siłę roboczą. Do nielicznych pozytywów zaliczam udział w wystawie „Szklany człowiek”, zorganizowanej w gmachu przy ul. Wiejskiej 8, dzięki której poznałem anatomię człowieka. Interesująca była również nauka zasad ruchu drogowego, na specjalnej lekcji z „granatowym” policjantem, który dał

każdemu instruktażową kolorową broszurę. Od czasu do czasu występowali w szkole różnego rodzaju artyści komediowi i cyrkowi, urozmaicający życie w ponurych dniach niewoli.

Na początku roku szkolnego 1943/44 dwóch nowych kolegów z klasy (nie pamiętam ich nazwisk – chyba Janicki i Płoński) zaproponowali mi wstąpienie do podziemnej organizacji, w której będziemy walczyć z Niemcami. Po szkole poszliśmy do mieszkania Janickiego, które mieściło się na parterze budynku po nieparzystej stronie ul. Barbary. Zwrócili mi uwagę, że lokal idealnie nadaje się dla celów konspiracyjnych, ponieważ budynek ma drugie wejście od ul. Wspólnej. Rozmawialiśmy na temat walki z okupantem. Janicki zwierzył się nam, że jego ojciec jest ukrywającym się oficerem WP i że jest w konspiracji. Na koniec zaproponowano byśmy złożyli przysięgę na wierność Polsce i zobowiązali się do utrzymania naszego związku w tajemnicy. Gospodarz wyciągnął białą-czerwoną flagę, przywiązał ją do kija od szczotki, a na jego końcu zamocował drutem metalowego orła na kole z napisem „Automobilklub”. Po przysiędze opuściliśmy lokal. Ja z Janickim udałem się na Sienną, gdzie pokazał mi jeszcze balkon mieszkania na drugim piętrze, w którym mieszkał z dziadkami. Przez całą drogę mówił mi o naszej przyszłej walce, w której widział nas zmotoryzowanych, w samochodzikach na pedały. Ponieważ powiedziałem mu, że mieszkam przy warsztacie stolarskim, a ojciec mój był stolarzem, zaciągnął mnie jako „specja” do składu opału na ul. Miedzianą nr 6, gdzie sprzedawano odpadowe, nieostrugane deski. Janicki chciał budować samochód na dziadka balkonie. Pomysł kolegi wydał mi się zbyt naiwny, a cała organizacja dziecinadą.

Wychowywany w duchu patriotycznym, marzyłem o przystąpieniu do poważnej konspiracji i walce z okupantem. W październiku otrzymałem drugą propozycję przystąpienia do konspiracji. Ta padła od Zbyszka Jankowskiego, kolegi mieszkającego po przeciwnej stronie ulicy Chmielnej, pod numerem 78. Pasjonował się modelarstwem i elektrotechniką i często rozmawialiśmy na te tematy. Po skończeniu szóstej klasy rozpoczął naukę w Warszawskiej Szkole Handlowej A. Gąsowskiego, która w czasie wojny nosiła inną nazwę. Szkoła ta mieściła się w budynku przy ul. Moniuszki 23, również z wejściem od ul. Sienkiewicza. Działała tam tajna organizacja harcerska, chyba wywodząca się z przedwojennej drużyny. Wstąpił do niej. Pierwszym jego zadaniem było zwerbowanie członków do nowotworzonego patrolu. Wciągnął mnie i Jurka Działkowskiego. Ja zwerbowałem kolegę z klasy – Zbyszka Braterskiego. Po pierwszej zbiórce z patrolowym „Markiem” (Adamem Russkiem) i drużynowym „Olkiem” (Tadeuszem Wojciechowskim) od razu zorientowałem się, że tym razem trafielem do właściwego harcerstwa. Kłopot miałem z moim wiekiem, ponieważ do 12 lat brakowało mi 4 miesiące (do szkoły poszedłem mając 6 lat). W legitymacji szkolnej, w roku urodzenia 1932, wydrapałem więc dwójkę i zastąpiłem ją jedynką. Tego małego fałszerstwa nikt wtedy nie zauważył, bo byłem wyrośniętym chłopakiem. Ale chyba przez to skierowano mnie po powstaniu na roboty do Niemiec, a w obozie we Wrocławiu, przy sprawdzaniu legitymacji, dostałem od Niemca w twarz.

W skład naszego patrolu wchodziło sześciu chłopaków: Zbigniew Jerzy Jankowski – „Zbyszko”, Zbigniew Kraterski – „Saper”, Jerzy Działkowski, Ryszard Hanke – „Rysiek”, ja – „Kazik” i jeszcze jeden, którego nazwiska ani pseudonimu nie pamiętam. Pseudonim „Kazik” przybrałem dlatego, że rodzina i znajomi zwracali się do mnie mało poważnie – Ziutek. Drużyna „Olka” miała symbol OL 100 w Roju „Orlęta Lwowskie” i wchodziła w skład Proporca „Kresowe Stanice” (KS), dawnego hufca „KS” prowadzonego przez „Kuropatwę” (phm. Przemysława Góreckiego), a po jego przejściu na komendanta „Zawiszy” – przez „Marka” (phm. Jerzego Fiutowskiego). W skład proporca wchodziły 4 roje, w tym nasz „OL”, którego komendantem był „Ryszard” (Michał Jerzy Filipowicz). Później rój włączono do Bloku „Zamek” z komendantem Zygmuntem Kotasem („Jurem”, „Borem”).

W pierwszym okresie, naszym znakiem rozpoznawczym były dwa szklane łebki szpilek, w kolorze żółtym i zielonym, wpięte w klapę. Później, po jakiejś wyspie zakazano ich noszenia. W ramach działalności konspiracyjnej uczestniczyłem w zbiórkach patrolu i drużyny oraz brałem udział w grach harcerskich, koniecznych do zdobycia punktów na stopień młodzika. Raz byłem w obstawie większego zgromadzenia harcerskiego, które odbywało się w którąś niedzielę w budynku (chyba bankowym) między ulicami Boduena i Przeskok. Śpiewających słychać było na ulicy. Zadaniem obstawy było zasygnalizowanie pojawienia się kogoś podejrzanego.

Na zbiórkach odbywały się szkolenia i ćwiczenia harcerskie: musztra, sygnalizacja, gry sprawnościowe, węzły, terenoznawstwo, samarytanka, podstawowe wiadomości o broni oraz nauka pieśni patriotycznych i harcerskich. Lokalami, w których odbywały się zbiórki patrolu było mieszkanie (chyba drugie) Jurka Działkowskiego w kilkupiętrowej kamienicy przy ul. Twardej 5 i chyba „Ryśka” na Wielkiej. Spotkania drużyny odbywały się w mieszkaniu rodziny „Olka” w banku przy ul. Boduena 1. Z ćwiczeń na spostrzegawczość zapamiętałem jedno. Polegało ono na tym, że każdy z członków patrolu miał w określonym czasie odnaleźć częściowo widoczne zdjęcia, rozmieszczone w różnych zakamarkach pokoju. Zebrań drużyny pamiętam „regulację” zastosowaną na rozkaz „Olka” wobec chłopaka bez przerwy rozśmieszającego obecnych. Polegała ona na położeniu delikwenta twarzą do podłogi, chwyceniu za kończyny i kilkakrotnym stuknięciu jego brzuchem o podłogę. Skutek był murowany.

Brałem udział w akcji zbierania danych z bloku domów ograniczonych ulicami: Leszno, Orlą, Elektoralną i Solną. Informowaliśmy, w których domach i ilu mieszka Niemców, gdzie są drukarnie, słupy ogłoszeniowe i telefoniczne „baniaki”. Dane o Niemcach podawaliśmy na podstawie wywieszonych w bramach domów kart z czerwono-czarną obwódką, informujących w języku polskim i niemieckim m.in. o liczbie zamieszkałych Niemców i nieniemców. Akcję wykonywaliśmy dwójkami. Po spisaniu danych zauważyliśmy, że grupy ludzi kierują się ul. Leszno w stronę Żelaznej. Poszliśmy za nimi i ze schodów gmachu sądów zobaczyliśmy straszny widok. Po drugiej stronie ulicy, tuż za murem Getta, na długich balkonach I piętra wypalonego domu wisieli na sznurach martwi ludzie. Jedna osoba chyba była w sutannie. Widok był szokujący. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Był to wynik egzekucji dokonanej przez hitlerowców w odwecie za akcje podziemia. Powieszono wtedy 27 Polaków. Stało to się 11 lutego 1944 roku, w dniu moich 12 urodzin.

Jedna z gier harcerskich na terenie miasta polegała na odnajdywaniu miejsc historycznych. Patrol miał wyznaczoną zbiórkę w niedzielę rano w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży. Z kościoła parami udaliśmy się do Parku Ujazdowskiego. Tam patrolowy „Marek” podzielił nas na trzy dwójki i każdej dał trzy zaklejone koperty z zadaniami do wykonania. Zadanie polegało na odnalezieniu w jak najkrótszym czasie miejsc w określonych rejonach i opisaniu ich. Za wykonanie gry przyznawane były punkty na stopień młodzika. Obiektami znalezionymi przez nas były: tablica poświęcona Bolesławowi Prusowi, która znajdowała się tuż nad budką z papierosami na budynku Krakowskiego Przedmieścia 4 od strony Oboźnej, tablica upamiętniająca miejsce urodzenia Marii Skłodowskiej-Curie umieszczona na budynku przy ul. Freta 16 i pomnik Elizy Orzeszkowej w Parku Praskim, który dostrzegliśmy zza ogrodzenia niemieckiego, wojskowego parkingu samochodowego. Meldunek po zakończeniu zadania złożyliśmy „Markowi”, który oczekiwał na nas przed kinem „Helgoland”.

W okresie przedpowstaniowym dostaliśmy polecenie zaopatrzenia się w suchy prowiant na 24 godziny, 10-metrową linę, kij harcerski oraz inne przydatne wyposażenie, jak mapy okolic Warszawy, lornetki, kompasy itp. Pamiętam, że kije robiliśmy z drążków od szczotek kupowanych w mydlarni. W celu zmniejszenia ich długości, by nie rzucały się w oczy, przycinaliśmy je i łączyliśmy skuwkami używanymi do wędek. W skuwki zaopatrywaliśmy się w sklepie na Złotej. Kije miały m.in. służyć do robienia noszy, po wpuszczeniu w przewinięte do środka rękawy zapiętego płaszcza.

Mój kontakt z patrolom urwał się w końcu czerwca lub na początku lipca, na skutek niedosłej zbiórki na pętli tramwajowej na Goławku, gdzie Niemcy urządzili łapankę. Po wojnie odszukałem Zbyszka Kraterskiego i Zbyszka Jankowskiego. W czasie powstania zginął nasz patrolowy „Marek” i drużynowy „Olek”.

Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego – 1 sierpnia 1944 roku – miałem 12 lat i sześć miesięcy. Za sobą miałem 5 wojennych lat, w tym około 10 miesięcy podziemnego harcerstwa, skończoną szóstą klasę szkoły powszechnej, dwa i pół roku bez ojca.

Już około godziny 16 na Chmielnej dało się zauważyć zwiększony ruch młodych ludzi, przemieszczających się w różnych kierunkach. Czuło się atmosferę niepokoju. Minał już okres ciągnących się Alejami Jerozolimskimi, ze wschodu na zachód, taborów konnych z uciekinierami niemieckimi. Jeszcze pamiętam ich zmęczone i wystraszone twarze, niektóre o rysach azjatyckich. Byli to volksdeutsche, reichsdeutsche i inni Niemcy sługusi z rodzinami, uciekający przed nadchodzącym frontem. Wielu uzbrojonych w karabiny, których dotąd nie widziałem. Większość z nich jechała na małych rosyjskich furkach, na kołach z żelaznymi obręczami i z dwoma dyszlami połączonymi pałąkiem, ciągnionych przez jednego małego konia. Na zachód podążały też całe transporty wojska. Warszawa cieszyła się, bo zapowiadało to bliski koniec okupacji. I nagle w końcu lipca kierunek się zmienił. Teraz na wschód pędziły kolumny niemieckiego wojska. Świadczyło to, że Niemcy nie uciekają, lecz będą się bronić. Jeszcze jednym symbolem zbliżającego się frontu były niemieckie obwieszczenia pisane tylko w języku polskim, skierowane do warszawiaków. Apelowali w nich o zgłaszanie się do przygotowania okopów, by „Cud nad Wisłą” jeszcze raz się powtórzył. Nienawiść do okupanta była jednak tak duża, że ochotników nie było.

Tuż przed godziną 17-tą z bramy domu zobaczyłem na ulicy pierwszego młodego mężczyznę z białoczerwoną opaską na rękę. O piątej słychać było pojedyncze strzały, a od czasu do czasu serie z broni maszynowej. W rejonie naszego domu nie było starć. Mieszkańcy byli całkowicie zdezorientowani. Dopiero o zmierzchu wrócił do domu jeden z sąsiadów, pan Solarski, kierowca ZOM-u, który powiedział nam, że wybuchło powstanie.

W nocy z 1 na 2 sierpnia padał deszcz. Rano powstańcy wezwali mieszkańców do budowy barykad i przekuwania przejść pomiędzy przyległymi budynkami. Ja uczestniczyłem przy stawianiu zapory na ul. Chmielnej, tuż przy wschodnim rogu ul. Sosnowej. Barykadę budowaliśmy z płyt zrywanych z chodników, z bazaltowych kostek jezdni oraz z innych niepalnych rupieci wywleczonych z domów. Nikt się nie oszczędzał. Kto tylko mógł przyczyniał się do jej wznoszenia, uważając, że w ten sposób zabezpieczy nasz rejon przed wejściem Niemców od strony ul. Marszałkowskiej i Dworca Głównego.

Po kilku godzinach intensywnej pracy wyslizgnęła mi się z rąk ciężka, nasiąknięta wodą płyta chodnikowa, raniąc palce prawej stopy. Kontuzja zmusiła mnie do ograniczenia ruchliwości prawie na miesiąc. Drugą barykadę, na wysokości domu Chmielna 63 – przeciwczołgową, z szerokim i głębokim wykopem w poprzek ulicy, wybudowano kilka dni później, ale bez mojego udziału. Pamiętam, że kiedyś w tym dole zabito konia na mięso, które sprzedawano.

Na sąsiedniej posesji pod numerem 61 mieściła się drukarnia Wierzbickiego, a od frontu w trzypiętrowej kamienicy część mieszkalna. W obiekcie tym stacjonował harcerski oddział przeciwlotniczy ze zgrupowania „Gurt”. Imponowali mi ci chłopcy. Wszyscy byli starsi ode mnie, mieli takie fajne pseudonimy jak „Orlik”, „Ryś”. Ubrani byli różnie, ale dominował przedwojenny strój harcerski. Wielu chodziło w krótkich spodenkach i z chustami na szyi. Przed budynkiem stał na warcie harcerz z wiatrówką na ramieniu. Kilku nosiło pistolety i granaty. Na teren „wojskowy” tego domu cywilom nie wolno było wchodzić. Zastanawiałem się, czym ten oddział przeciwlotniczy miał walczyć, bo chyba nie miał żadnego karabinu maszynowego, nie mówiąc już o działku.

Strach przed bombardowaniami i ostrzałem artyleryjskim spowodował, że prawie wszyscy lokatorzy przenieśli się do piwnic. Korytarz piwniczny zastawiony był siennikami, materacami, łózkami, w tym także naszą kozetką przeniesioną z kuchni, na której spałem z mamą i małymi kotkami. Na dzień, w miarę możliwości, legowiska były uprzążane. Gotowało się w kuchni, w naszym mieszkaniu na parterze. Korzystali z niej również sąsiedzi mieszkający na wyższych piętrach. Szczególnie zadomowiła się pani Bychawska z córkami Mirką i Danką. Danką stała się moim najlepszym kumplem, chociaż była starsza o jakieś dwa lata. Ojciec jej przebywał w obozie jenieckim.

Wojna powodowała konieczność gromadzenia zapasów żywności. To one umożliwiły nam przetrwanie powstania. Podstawowym posiłkiem był pęczak z sosem pomidorowym. Pomidory mama co rok przygotowywała na zimę w butelkach. Gdy były trudności z nabyciem chleba, mama sama go piekła. Chyba dwa lub trzy razy udało się kupić koninę za pieniądze okupacyjne, po paskarskich cenach. Konina była z koni browaru Haberbusza. Byli też „amatorzy” gołębi łapanych w siatki lub zabijanych przez powstańców śrutem. Warzyw nie było. Walutą wymienną były m.in. papierosy i alkohol. Największy kłopot miała pani Lenczewska z wykarmieniem swego niemowlęcia.

W pierwszym okresie powstania wodę można było pobierać z kranów w głębokich piwnicach. Taka była pod numerem 57. Później czerpaliśmy wodę ze specjalnie wykopanej studni na podwórku przy ul. Sosnowej 1 lub 3, stojąc w bardzo długiej kolejce.

W miarę upływu czasu głód coraz częściej zaglądał ludziom w oczy, szczególnie tym ze zburzonych lub spalonych domów, samotnym i zagubionym w mieście. Ci z kawałkiem białego płótna na patyku, w oznaczonych na ulotkach miejscach i godzinach, przechodzili na stronę niemiecką. Najbardziej dały się nam we znaki bombardowania i ostrzeliwania artyleryjskie z działa kolejowego zwanego „grubą bertą” i wyrzutni raketowych zwanych „krowami” lub „szafami”. Przed tymi ostatnimi można było zdążyć ukryć się w schronie, ponieważ wybuch poprzedzony był kilkoma rykami. Oprócz tego ostrzeliwano nas z dział czołgowych i artyleryjskich. Pociski bardzo często posiadały ładunek przeciwpiechotny, zapalający i napalm. Napalm powodował pożary oraz śmierć lub poranienie na skutek poparzenia gorącą lawą. Natężenie nalotów zmniejszyło się dopiero pod koniec powstania.

W rejonie Chmielnej, graniczącym ścianami szczytowymi budynków z terenem kolejowym Dworca Głównego (zajętym przez Niemców), na odcinku pomiędzy Wielką i Żelazną, bezpośrednich walk nie było. Kilka razy był ostrzał z czołgów przemieszczających się w Alejach Jerozolimskich. Szczególnie ucierpiała ludność zamieszkała w domach po stronie parzystej, od numeru 72 do ul. Wielkiej. Chwile spokoju karciarze wykorzystywali na brydża lub pokera.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko naszego domu, została zbombardowana i w wyniku tego całkowicie zburzona, narożna kamienica – Sosnowa 1. Przez pewien czas otoczenie jej znajdowało się w tumanie pyłu, który przykrył wokół teren i pokrył ludzi znajdujących się w pobliżu. Zginęło tam wiele osób i dużo było rannych. W czasie tego nalotu byłem na naszym podwórku. Biegając do schronu kątem oka zdążyłem jeszcze zauważyć lecące bomby, które wybuchły kilkadziesiąt metrów dalej. Niesamowity strach, a może detonacja spowodowały, że nie zauważając schodów, w jednej chwili, znalazłem się na dnie piwnicy.

W początkowym okresie entuzjazm z uzyskanej wolności był szalony – szczególnie wśród ludzi młodych. Wierzono, że powstanie zakończy się zwycięstwem. Wiadomości o przebiegu walk docierały do nas od ludzi poszukujących w mieście swoich bliskich, powracających z miejsc odciętych wybuchem powstania, od handlarzy i z gazetek różnych ugrupowań, a szczególnie z „Biuletynu Informacyjnego”. Odbywały się też pogadanki organizowane przez wojsko. Zrzucały się ulotki z sowieckich samolotów. Z jednej z nich dowiedziałem się, że w Lublinie powstał rząd i że Polskie Wojsko – Kościuszkowcy wraz z Armią Czerwoną idą na pomoc Warszawie.

Tereny zajęte przez powstańców kurczyły się. Po miesiącu walk padło Stare Miasto. Kanałami ze Starówki przedostał się oddział z Batalionu „Miotła”, w którym walczyli koledzy mojej siostry: Stach Perliński, Rajmund Skrobowski, Tadek Pałysewicz i ranny Zbyszek Banaszekiewicz. Już po wyjściu z ka-

nału na ul. Czackiego zginął brat Rajmunda – Andrzej Skrobowski. Wcześniej poległ Janusz Bamburski. Żyjący odwiedzili rodzinę Perlińskich w naszym domu. Zakurzeni, ubrudzeni, fajnie wyglądali w poniemieckich mundurach czołgistów, z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu i z orłami na czapkach. Poza Zbyszkim Jasińskim, który poległ w pierwszych dniach powstania na Bielanych i Mirkiem Zdanem, byli to najbliżsi znani mi powstańcy. Wszyscy podchorążowie, z wyjątkiem Zbyszka Banaszkiwicza – podporucznika. Po krótkim odpoczynku zostali skierowani do obrony poczty dworcowej na Chmielnej przy Żelaznej.

Powstańcy wywodzący się z AK nosili opaski z wydrukowanymi literami WP i umieszczonym między nimi orłem. Poniżej był numer ewidencyjny. Widziałem też nielicznych powstańców z innymi napisami na opaskach, jak KB – Korpus Bezpieczeństwa, PPS i AL. Ci ostatni na metalowej blaszce przypiętej do bluzy mieli wybitą cyfrę 4 – „Czwartacy”.

Na początku września docierały do nas wieści, że Kościuszkowców widziano już na Nowym Świecie, że Rosjanie lada chwila nas wyzwolą. Radość była niesamowita. Gdyby wtedy weszli, to ludzie nosiliby ich na rękach. Niestety, desant Wojska Polskiego na Czerniakowie nie odniósł spodziewanego skutku.

Od czasu do czasu docierały do nas wiadomości o nocnych zrzutach angielskich i rosyjskich. Były przypadki, że o zrzucone pojemniki były się między sobą poszczególne powstańcze formacje. Większość zrzutów wpadała jednak w ręce niemieckie. W czasie powstania po raz pierwszy zobaczyłem steny i pepesze. Wielkie wrażenie zrobił na mnie nalot, w biały dzień (18 września), amerykańskich fortec. Widziałem wypadających na spadochronach skoczków, do których Niemcy strzelali, a którym zapalały się spadochrony. Gdy spadochrony zniżyły się, okazało się, że zawieszani są na nich nie ludzie tylko pojemniki. Z nieba Amerykanie zsyłali nam broń i amunicję, środki opatrunkowe oraz żywność. Do nas, cywilów, przez handlarzy dotarł jakiś tłuszcz. Mówiono, że jest to małpi smalec.

A co działo się z naszą najbliższą rodziną i znajomymi? Moja siostra Ola była u rodziny w Maleńcu i Smardzewicach. Siostrę mamy, ciotkę Baškę, powstanie zatrzymało w ZUS-ie na Czerniakowskiej, gdzie pracowała (w czasie powstania był tam szpital), a później wraz z innymi pracownikami została przetransportowana do Krakowa. Spośród znajomych rodziców raz odwiedził nas Rybka i powiedział, że działa w powstaniu, a na początku września zamieszkała u nas rodzina kolegi ojca, Szwedkowiczowie, którzy uciekli z Grzybowskiej. Po kilku dniach zdecydowali się na wyjście z miasta. Mieli z sobą dużo papierosów, z których część nam pozostawili. Przydały się w dalszej tułaczce na wymianę. Przyszł do mnie Zbyszek Kraterski, kolega ze szkoły i z harcerstwa, w czarnym niemieckim mundurze czołgisty z opaską biało-czerwoną. Przepadł gdzieś w czerwcu, Niemcy go wywieźli, lecz uciekł im i wrócił do Warszawy. Był łącznikiem w jednym z oddziałów powstańczych.

Reszta znajomych to współlokatorzy domu, z którymi przeżyliśmy ten trudny okres. Do Perlińskich z domu przy ul. Sosnowej przenieśli się Skrobowscy, rodzice Rajmunda, narzeczonego ich córki Janki Perlińskiej. Widziałem ich palącą się kamienicę i żagwie ognia buchające z okien. O zmroku cała jej ceglana fasada wyglądała jakby była rozpalona do czerwoności. Dom spłonął doszczętnie, a w nim ich mieszkanie wraz z gabinetem dentystycznym. U Perlińskich przebywał też ich siostrzeniec Janusz Banaszkiwicz, mój kolega. Gdzieś w połowie powstania wstąpił do batalionu pomocniczego. Dostał szare drelichowe ubranie i taki sam beret z biało-czerwoną naszywką. Każdego dnia przynosił bochenek chleba. Pod koniec września został ranny od drobnych odłamków pocisku i odtąd często przesiadywał ze mną w piwnicy.

Komendantem bloku był Marian Grygo. On opiekował się mieszkańcami i dbał o bezpieczeństwo naszego domu. Ja byłem jego pomocnikiem. Szczególnie pomagałem mu w ustalaniu nocnych dyżurów mężczyzn, w których i sam też brałem udział. Pamiętam jak w pierwszą noc zmarłem, pomimo że było lato. Jednego dnia, po ostrzale z Al. Jerozolimskich od strony dworca, zapaliła się szopa przylegająca do ściany szczytowej naszego domu, a od niej dach nad naszą oficyną. Gaszenie było bardzo trudne z uwagi na brak wody w budynku. Z mieszkańców naszego i sąsiednich domów utworzono długi wąż osób, ciągnący się od kranu w piwnicy budynku Chmielna 57 aż do naszego strychu. Kubły z wodą, zebrane od wszystkich lokatorów, podawano z rąk do rąk. Akcja gaszenia trwała kilka godzin. Tej nocy dyżur pełniłem ja z Januszkiem. Sprawdzając stan częściowo spalonego strychu zauważyliśmy w jednym miejscu buchający płomień. Zaalarmowaliśmy lokatorów i szczęśliwie go ugaszono.

Jedną z blokowych akcji było dostarczenie przydzielonego dla mieszkańców chleba. Po chleb do piekarni na ul. Chmielną, w pobliżu Żelaznej, wysłano grupę osób z workami, w tym i mnie. Przebiegając krótki odcinek ulicy, odsłonięty od Al. Jerozolimskich, zostaliśmy ostrzelani przez Niemców. Na szczęście nic nam się nie stało i świeży chleb donieśliśmy do domu.

Wszyscy starali się wzajemnie pomagać i w miarę swoich możliwości uczestniczyć w działaniach na rzecz naszej wspólnej podwórkowej społeczności, jaka utworzyła się w tych ciężkich dniach. Jedynie dorosłe dzieci dozorca stroniły od reszty. Cały czas przesiadywali w swoim mieszkaniu na I piętrze i nie brali udziału w żadnych pracach społecznych. W połowie powstania ich rodzice, mający po około 80 lat, zmarli jedno po drugim, w odstępie jednego dnia, pełniąc do końca swe zawodowe obowiązki. Pogrzeb odbył się na podwórku przy ul. Złotej 39, gdzie chowano wszystkich w tym rejonie – tak cywi-

łów jak i powstańców, z tą różnicą, że tym ostatnim towarzyszył honorowy salut. W pogrzebie uczestniczył ksiądz i mieszkańcy naszego domu. Pochowano ich w drewnianych trumnach.

Codziennie wieczorem w piwnicy odprawiano zbiorowe modlitwy. Przewodziła literatka, Budzyńska, która mówiła modlitwy i litanie swojego autorstwa, a reszta za nią powtarzała. Śpiewano pobożne pieśni. Do swego mieszkania nie powróciła już reichsdeutschka Winnicka, właścicielka pralni. Pewnie się bała. Natomiast Niemka Scharfowa wraz z córkami, czuły się Polkami, były z nami i dzieliły nasz wspólny los.

Z Bogdanem Zdanem spotkałem się jeden czy dwa razy. Był przez cały czas z rodzicami. Na moje pytanie czy nie wybiera się do powstania, odpowiedział mi, że wystarczy udział jego starszego brata Mirka – ktoś musi zostać z rodzicami. Jak się później dowiedziałem – Mirek pseudonim „Głodny” zginął w pierwszych dniach powstania. Miał zaledwie 20 lat.

Kontakt z kolegami z harcerstwa, jak wcześniej wspominałem, urwał się miesiąc przed powstaniem. Następnie byłem unieruchomiony przez kontuzję nogi. Po apelu „Kuropatwy” wraz z Jurkiem Działkowskim, w obecności kolegi z jego domu o nazwisku Pastwa, umówiliśmy się we dwóch na wspólną ucieczkę do poczty harcerskiej, następnego dnia o uzgodnionej rannej godzinie. Gdy Jurek zgłosił się i zapytał o mnie, któreś z dzieci, może dla ubawu, powiedziało mu, że gdzieś poszedłem. Myślał, że udałem się bez niego i nie czekając na mnie sam poszedł na Szpitalną. Ja czekałem, a następnie zacząłem go szukać, zaczynając od jego mieszkania. Jego matka nie wiedząc co się dzieje z synem wpadła w popłoch i dostała ataku serca. Widząc w jakim jest stanie, powiedziałem gdzie jest Jurek. O wszystkim z kolei dowiedziała się moja mama, która kategorycznie nie zgodziła się na mój udział w poczcie i do końca miała mnie na oku. Znając i jej stan zdrowia, musiałem się podporządkować. Mój nieudany plan przystąpienia do powstania był dla mnie osobistą klęską. Przygotowania do walki o wyzwolenie Polski w harcerskim patrolu nie zrealizowały się.

Nadszedł dzień kapitulacji. Powstańcy z sąsiedniego domu przyodziali się w naprędce uszyte nowe mundury w kolorze ciemnozielonym. Prawie wszyscy zostali awansowani. Również pozostali przy życiu koledzy Oli dostali po jednej gwiazdce podporucznika. Janka Perlińska, pomimo że nie brała udziału w powstaniu, przyłączyła się do oddziału swego narzeczonego i razem poszli do niewoli. Smutne były pożegnania z powstańcami. Dumni byliśmy, że wychodzili z honorem. Niemcy uznali ich za wojsko i potraktowali z uwzględnieniem konwencji genewskiej. Po wyjściu powstańców, od czasu do czasu pojawiały się grupy żołnierzy niemieckich podpalające miotaczami ognia opuszczone domy. My z większością lokatorów, pomimo nakazu ewakuacji, przeczekaliśmy jeszcze kilka dni, licząc że może uda się pozostać. Niestety, wypędzono nas. Każda rodzina wychodziła indywidualnie. Jeszcze z kilkoma współmieszkańcami spotkaliśmy się w obozach w Pruszkowie i we Wrocławiu, a z niektórymi już nigdy.

A jednak doszło do najgorszego. Nastąpiło zapowiadane wypędzenie ludności z Warszawy. Była to dla nas tragedia. Przebywając w ostatnim okresie powstania z rannym Januszkiem Banaszkiwiczem, marzyliśmy o pozostaniu w Warszawie i walce do końca. Nie mogliśmy pogodzić się z tym, że po 63 dniach wolności musimy z powrotem wracać w karby niemieckiej niewoli. Nasze marzenia rozpięchły się, gdy zobaczyliśmy wkraczających esesmanów z bronią wymierzoną do ludzi i z ziejącymi ogniem miotaczami. Zapasy posiadanej żywności już się kończyły. Mama zdążyła jeszcze uszyć prowizoryczne plecaki, do których włożyliśmy resztki prowiantu, odzież i niezbędne naczynia. Bagaż uzupełniała ręczna torba i mała walizka. Co cenniejsze rzeczy zamurowano we wnęce piwnicy. Tak objuczeni, około 7 października 1944 roku, ja z mamą w grupie sąsiadów wyszliśmy z domu przy ul. Chmielnej 59, z nadzieją na rychły powrót. Kto wtedy przypuszczał, że dla mnie potrwa to 11 miesięcy...

Do Dworca Zachodniego szliśmy ulicami: Chmielną, Żelazną, Alejami Jerozolimskimi, Tarczyńską i Niemcewicza. Posuwaliśmy się w tłumie ludzi zmęczonych, wynędzniałych. Nie było z nami mężczyzn do obrony, bo ci poszli już do niewoli jako żołnierze. Tu szły matki z małymi dziećmi, niedorostki takie jak ja, kobiety w różnym wieku i starsi mężczyźni. Wszyscy objuczeni tobołkami, w których znajdował się skromny dobytek, najczęściej rzeczy, z którymi nie chcieli się rozstać. Dla dzieci były to najukochańsze lalki lub inne zabawki, dla starszych kosztowności, za które można było nabyć żywność i urządzić się jakoś na wysiedleniu. Były też tam pamiątki po bliskich, fotografie tych, co już odeszli lub może jeszcze żyją, tylko nie wiadomo gdzie. Ten niecodzienny, jakże żalony kondukt pogrzebowy ludzi z utraconą wiarą na przetrwanie, sunął ulicami wykrwawionej i pokonanej Warszawy. Funkcję halabardników spełniali esesmani o ponurych twarzach, rozstawieni po obu stronach ulic, z bronią gotową do strzału. Domy wzdłuż ulic Tarczyńskiej i Niemcewicza dopalały się. Było to dzieło specjalnych oddziałów niemieckich wyposażonych w miotacze ognia.

Tuż przy Dworcu Zachodnim przechodziliśmy obok pola z resztkami cebuli. Chęć spożycia zieleniny, po dwumiesięcznym jej braku, spowodowała, że wyrwałem się z kolumny i wbiegłem na pole. Gdy pochylałem się nad cebulą i prawie miałem ją w rękę, usłyszałem ryk Niemca, ukrytego wśród badyli, repetującego broń. O wyrwaniu cebuli nie było już mowy.

Na bocznicę dworca wpędzali nas do odkrytych wagonów towarowych. Po krótkiej jeździe znaleźliśmy się na terenie zakładów naprawczych taboru kolejowego w Pruszkowie, które w okresie

powstania spełniały rolę obozu przejściowego dla ludności wypędzonej z Warszawy. W obozie działał Polski Czerwony Krzyż i chyba RGO. Funkcjonariusze tych organizacji nosili opaski i ubrani byli w białe fartuchy. Do nich należała opieka sanitarna i rozdzielanie skromnych racji żywności. Pamiętam kolejki po gorzką kawę zbożową nalewaną chochlami do podawanych naczyń. Wydawano też zupę z kromką czarnego chleba.

Nasz transport ulokowano w hali oznaczonej chyba numerem 5. Był to wielki budynek o powierzchni około 1 ha, z torami, dołami rewizyjnymi i z rzadko rozstawionymi słupami. Z początku pusta hala zaczęła wypełniać się coraz to większym tłumem przywiezionych ludzi. Słychać było nawoływania pogubionych członków rodzin i znajomych, płacz dzieci, jęki rannych i szlochanie kobiet. Przekazywano sobie wiadomości na temat obozu, możliwości zdobycia żywności, pomocy lekarskiej i dalszych naszych losów. Po ułożeniu tobołków i przygotowaniu miejsca do spania, rozpoczęły się spacerzy rozpoznawcze. Znaleźliśmy szalety, kranie z wodą do mycia i picia, miejsca gdzie można dostać coś do jedzenia. Odszukaliśmy kąty, w których rozlokowali się nasi znajomi. Z tych rekonesansowych wypraw zorientowałem się, że dla cudzoziemców było oddzielne lokum, że PCK udzielało w ambulatorium pomocy lekarskiej małym dzieciom, chorym i rannym. Szczególnie bano się o rannych w młodym wieku, ponieważ Niemcy mogli ich wziąć za ukrywających się powstańców. Dowiedziałem się, że codziennie rano wypędzają wszystkich przed halę i rozdzielają na dwie grupy z przeznaczeniem do wysłania do Niemiec lub do Guberni.

Noc w Pruszkowie była dla mnie makabryczna. Spałem na betonie w pozycji tak niewygodnej, że zapamiętałem to na całe życie. Głowę miałem opartą na jakiejś skrzyni, tułów na betonowej podłodze, a nogi na tobołkach. Było bardzo zimno. Rano po obmyciu się, zjedzeniu chleba z buraczną marmoladą i popiciu „kawą”, zostaliśmy wypędzeni przed budynek na plac, gdzie dokonywano selekcji. Przy stolikach siedzieli podoficerowie niemieccy, przeglądali dokumenty i decydowali gdzie kogo wysłać. Mnie z mamą skierowali na wyjazd do Niemiec. Nie pomogły prośby, że jestem zbyt młody, a mama jest chora i ma opuchnięte nogi. Jeszcze nas zbesztano i zarzucono, że w szkolnej legitymacji mam fałszywą datę urodzenia. Jak na swój wiek – 12 lat i 8 miesięcy, byłem dużym chłopakiem.

Znaleźliśmy się w hali nr 4. Niedaleko było ogrodzenie, a za nim miasto Pruszków i „wolni ludzie”. Zetknięcie z osobami, które nie przeszły powstania, było dla mnie jakieś dziwne, nienaturalne. W czasie powstania wydawało mi się, że cały nasz naród w większym lub mniejszym stopniu przeżywa to samo co my. Teraz ci ludzie za ogrodzeniem byli mi jacyś obcy. Czuję się jak Żyd w getcie. Pytaliśmy ich, czy w Pruszkowie dużo warszawiaków, czy nie ma jakiejś możliwości wydostania się z obozu, czy mogli by nam coś kupić do jedzenia. O wydostaniu się z obozu mowy nie było. Niemcy co pewien czas przeczesywali okolice w poszukiwaniu uciekinierów i w przypadku ich złapania razem z ukrywającymi wysyłali do obozów koncentracyjnych. Jednemu z za ogrodzenia dałem pieniądze na kupno kielbasy, lecz ani na niego ani na kielbasę nie doczekałem się.

Drugiego dnia pobytu, około czwartej po południu, wypędzono nas na peron. Stał tam pociąg towarowy, który miał zawieźć nas do Reichu. Otaczali nas żandarmi i esesmani. Mama zwróciła się do jednego z nich z błaganem, by zostawił nas w obozie. Za pierścionek odstawił nas na bok i obiecał, że nie włączy do transportu. Po kilku minutach przyszedł inny i popędził nas do towarowego wagonu, w którym było już sporo ludzi. Miejsca tyle, że ledwie można było usiąść na podłodze ze skurczonymi nogami. Najlepsze miejsca były przy ścianie, ale te były już zajęte. Byli tu ludzie w średnim wieku, ja byłem najmłodszy. Szczególnie utkwili mi w pamięci mężczyźni w roboczych mundurach strażackich ze skórzanymi pasami i w butach saperkach. Było ich kilku. Czuję się, że na pewno brali udział w powstaniu. Zachowanie ich świadczyło o ich sprawności, była z nich siła, obecność ich dodawała nam otuchy. Jeszcze przed ruszeniem pociągu wnieśli długi pręt, który jak się później okazało posłużył do odryglowania drzwi wagonu. Pociąg z pozamykanymi od zewnątrz drzwiami ruszył około godziny 17 wśród stękań i złorzeczeń przymusowych pasażerów.

Tuż przed zmrokiem, jeszcze na terenie Guberni, zatrzymał się w polu dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Po powrocie zauważyliśmy, że jedna kobieta z naszego wagonu pozostała na polu układając stertę kapusty. Chustka na głowie, niewyróżniający się wygląd oraz wykonywane czynności spowodowały, że Niemcy nie zwrócili na nią uwagi. Pozostał w wagonie jej bagaż, ale wolność była ważniejsza.

W czasie okupacji często widziałem ludzi przewożonych pod eskortą w bydłowych wagonach. Błede i wynędzniałe twarze czasami widoczne były przez małe zakratowane okienka. Na dworcach często przez te okienka podawano lub wrzucano im żywność. Byli to Żydzi, więźniowie lub jeńcy rosyjscy. Bardzo mi było żal tych ludzi. A teraz ja byłem jednym z nich. Byłem wewnątrz wagonu zdążającego w nieznanym kierunku i w nieznaną przyszłość. Teraz dopiero zorientowałem się, że nie łatwo znaleźć się przy okienku, że jest to przywilej silniejszego, sprawniejszego i wyższego. Niskiego trzeba było podnieść do góry, by coś zobaczył lub zaczerpnął świeżego powietrza. Po kilku godzinach jazdy napięcie i zdenerwowanie zaczęło się potęgować. Każdy każdemu przeszkadzał. Za mocno się o drugiego opierał lub go deptał. Wiele osób cierpiało na biegunkę lub miało kłopoty z pęcherzem. Atmosferę poprawili

„strażacy”. Przygotowanym wcześniej prętem, przez kraty w okienku, uniesiono rygiel i otworzono drzwi. Teraz przez szczelinę można było załatwiać swoje potrzeby. Mężczyznom było łatwiej, kobiety trzymane za ręce. Po zmierzchu zaczęto wyskakiwać z wagonu. Wyskoczyli wszyscy „strażacy”, a także kilka innych osób. Dramat przeżyaliśmy przy wyskakiwaniu małżeństwa. Ona bała się, on ją siłą wypychał z wagonu. Technika wyskakiwania polegała na położeniu się na stopniu – „ławeczce” pod wagonem i sturlaniu się zeń na nasyp kolejowy. Po szamotaninie kobieta znalazła się na ławeczce, a mąż zepchnął ją i następnie sam wyskoczył. Ryzyko było duże, ponieważ nie było wiadomo, czy wyląduje się już w Niemczech czy jeszcze w Polsce, czy nie spadnie się na druty sygnalizacyjne lub słupki betonowe i czy nie dosięgnie seria z karabinu maszynowego zainstalowanego na końcu pociągu. O wyskoczeniu mojej mamy nie było mowy. Gdybym był sam to na pewno bym to zrobił. Miałem wprawę we wskakiwaniu i wyskakiwaniu z tramwajów.

O piątej rano nasz pociąg dojechał do Breslau (Wrocławia). Na drogach podmiejskich widać już było pojedyncze osoby poruszające się na rowerach. Sylwetki ich różniły się od naszych. Wielu mężczyzn na głowach miało tyrolskie zielonkawe kapelusze o wąskich rondach, inny krój ubrań, inne guziki. W ustach cygara lub fajki. Na nogach długie gumowe lub skórzane buty. Kobiety też wyglądały inaczej, w większości były otyle. Tak, to byli Niemcy – panowie Europy, a my byliśmy ich niewolnikami. Jechaliśmy pracować dla nich, dla Rzeszy, dla Hitlera, dla morderców naszych rodzin, sąsiadów, znajomych, Polaków, Żydów i Rosjan.

Pociąg wolno przejeżdżał skrzyżowanie z drogą. Przy szlabanie stali Niemcy. Patrzyli na nas wyglądających przez uchylone drzwi i okienko. Co oni o nas myśleli? Za kogo nas mieli? Czy uważali nas za ciemną roboczą masę, która przysparza im bogactwa i zaopatrywać front? Czy też widzieli w nas ludzi cywilizowanych, każdego z zasobem mniejszej lub większej wiedzy i umiejętności? Na te pytania nigdy nie udało mi się uzyskać pełnej odpowiedzi.

Wjechaliśmy na jakieś boczne tory. Pociąg zatrzymał się i wyrzucono nas z wagonów. Został mi w pamięci długi ciemnoszary, wielopiętrowy budynek z kratkami białych okien, stojący po przeciwnej stronie torów, szlaban zamykający ulicę i wielki budynek fabryczny z wysokim kominem. To było Burgweide (Sołtysowice), a fabryką okazała się cukrownia. Popędzono nas w jej stronę, gdzie w sąsiedztwie znajdował się obóz. Otoczony był drutem kolczastym i miał dwie bramy. Jedna dla wprowadzanych po raz pierwszy do obozu, a druga dla wychodzących i obsługi. Ustawiono nas w długiej kolumnie na drodze przed wejściem. Tam dokonywano przeglądu naszych bagaży. Część papierosów Westhlen (Wisła), które stanowiły główną pozycję naszego majątku, trafiła do kieszeni wachmajstra. Nie odstraszyło go to, że nie przeszliśmy jeszcze przez kwarantannę, a papierosy mogły być zawszone lub zarażone tyfusem.

Obóz podzielony był na dwie części – brudną i czystą. Umieszczono nas w części pierwszej, w baraku z wieloosobowymi piętrowymi pryzkami. Następnego dnia rozdzielono mężczyzn od kobiet i każdą grupę umieszczono w innej części bloku sanitarnego. Obsługę bloku, jak i całego obozu stanowili Ukraińcy. Personel w większości damski obsługiwał mężczyzn, a męski kobiety. Kazano rozebrać się do naga. Rzeczy i ubrania zabrano do dezynfekcji w specjalnych komorach. Nam ostrzyżono owłosienie w intymnych miejscach i popędzono pod natryski. Kwarantanna trwała cały dzień. Pozostał mi w pamięci epizod, który wydarzył się w trakcie rozbierania. Do mężczyzny ze znacznie powiększonym jądrem podeszła uśmiechająca się Ukrainka i chwyciła go za nie. Mężczyzna uderzył ją w twarz. Myśleliśmy, że dojdzie do interwencji ze strony niemieckiej, ale po wytłumaczeniu zajścia – sprawy nie było.

Z bloku dezynfekcyjnego wyszliśmy okoliczowani niczym bydło. Do naszych ubrań przymocowano specjalnymi cęgami kolorowe rozetki. Grupy z poszczególnych transportów odróżniały się kolorem i kształtem „kolczyków”. Znaleźliśmy się w części „czystej” obozu. Umieszczono nas w barakach z pryzkami wyściełanymi szczątkami słomy. Mnie z mamą przypadło miejsce na dolnej półce. Pierwsza noc była straszna. Wydawało mi się, że na twarz spadają wszy, pluskwy i wszelkie inne robactwo. Sypiące się z górnej pryczy okrucy słomy robiły takie wrażenie. Mama przeglądając po dezynfekcji naszą bieliznę zauważyła w szwach wszy. Z braku innego miejsca do spania w baraku, wychodziłem w nocy na zewnątrz i owinięty w koc drzemałem pod księżycem. Niebo było gwiazdzone i piękne. Te moje nocne drzemki jakoś tolerowane były przez wachmanów, w przeciwieństwie do gotowania czegokolwiek przed barakiem. Wtedy but strażnika nie miał litości, kopał naczynie, rozrzucał cegły i deptał żarzący się ogień.

Trzy razy dziennie wypędzano wszystkich z „czystej” części obozu na łączkę przylegającą do cukrowni, ogrodzoną drutem kolczastym. Przy wejściu stał wóz konny o wysokich kołach, na którym były kotły z kawą lub zupą oraz wydzielone minimalne porcje chleba, margaryny lub marmolady. Ustawiała się do niego kolejka kilkuset więźniów. Po odebraniu wydzielonych przez Ukraińców racji żywności wchodziło się z powrotem na teren obozu. Wydawanie posiłku trwało kilka godzin. Szczególnie utkwiała mi w pamięci zupa, którą nas karmiono. Był to krupnik z kaszy manny z kartoflami i marchwią. Miałem do niego tylko dwa zastrzeżenia – kasza była z białymi robakami (długości 2-5

milimetrów z małą czarną kropką w miejscu głowy), a marchew była nieskrobana z grudkami przyklejonej gliny. Stwierdziłem, że po wyrzuceniu marchwi moja porcja stawała się znacznie mniejsza, a na dnie miski zalegał piach. Dla ostatnich zupy nie starczało i musieli dogotować. Żeby było szybciej – już bez marchwi. W następnych dniach zajmowałem miejsce na końcu kolejki i dostawałem zupełnie bardziej zjadliwą.

W wolnych chwilach między posiłkami wałęsano się po obozie, odnajdywano znajomych, wymieniano informacje. Spotkaliśmy rodzinę Skrobowskich oraz naszych sąsiadów – Grygów. Z tymi ostatnimi byliśmy w kontakcie do czasu oblężenia Wrocławia. Od współwięźniów dowiedzieliśmy się, że kilka dni przed naszym przybyciem, rano do jednej z latryn weszła kobieta z palącym się papierosem. Stężony gaz kłoczny wybuchł, budynek rozleciał się, a ona przeżywszy powstanie zginęła w obozowym szambie.

Któregoś dnia był przegląd lekarski. W długim baraku przedzielonym wzdłuż ścianką wysokości około półtora metra nakazano po jednej jej stronie rozbierać się do naga kobietom, a po drugiej mężczyznom. Na końcu przy stole siedzieli esesmani, którzy dokonywali oględzin, szczególnie interesując się młodymi kobietami i notowali coś w swoich papierzykach.

Zdarzało się często, że polscy robotnicy, wychodzący po pracy z cukrowni, rzucali nam przez ogrodzenie paczuski z wyłokami buraczanymi, które stanowiły dla nas nie lada przysmak. Czasami wykorzystując nieuwagę wachmanów – starych dziadków – rozmawiali z nami.

Po kilku dniach pobytu matki z dziećmi do lat 14 zostały wezwane do zebrania się przy bramie wyjściowej z obozu. Dokonano przeglądu dokumentów. Ja za niewyraźną datę urodzenia w mojej legitymacji dostałem od Niemca w twarz. Obstawa składająca się z kilku Niemek doprowadziła nas do normalnego tramwaju. Grupa nasza liczyła około 30 osób. Tramwajem jechaliśmy razem z niemieckimi pasażerami. Dowieziono nas do Dworca Głównego. Zgrzani, zmęczeni, objuczeni bagażem, znaleźliśmy się w holu dworca. Nagle przy mnie zatrzymał się policjant w charakterystycznym kasku z dwoma daszkami, klepnął mnie po ramieniu i powiedział po polsku: „Nic się nie martw, już niedługo Hitlera diabli wezmą”. Te kilka słów dodało mi otuchy. Nie jesteśmy sami. Jest jakaś nadzieja, że może coś się zmieni, że przeżyjemy i wrócimy do Polski.

Pociągiem osobowym powieziono nas w nieznaną. Na jednej ze stacji kazano nam wysiąść. Byliśmy w Strehlen (Strzelin). Było ciemno. Obowiązywało zaciemnienie przeciwlotnicze. Całą naszą grupę przeprowadzono przez miasto. Spotkani po drodze Polacy pracujący w fabryce konserw warzywnych pytali skąd jesteśmy. My z kolei pytaliśmy, co oni tu robią. Na domiar złego urwał mi się pasek od plecaka, co spowodowało, że bardzo niewygodnie niosło mi się bagaż. Co chwila szarpałem plecak i podciągałem do góry, a on znowu się zsuwał. Matka mnie zrugwała i niewiele brakowało, a oberwałbym kuksańca. Była zmęczona i zdenerwowana.

Doszliśmy do jakiegoś piętrowego budynku. Wprowadzono nas na dużą salę. Zorientowałem się, że znajdujemy się w nieczynnej restauracji. Stoły i krzesła były w nieładzie. Podłoga była drewniana. Przestrzeni było dużo i można było sobie wybrać dowolne miejsce na spanie. Dali nam herbaty, świeżego chleba z margaryną i marmoladą. Wyżerka była fantastyczna. Rano obudzono nas, nakarmiono jak na kolację i poprowadzono przez miasto do łaźni na kolejną dezynfekcję. Następnie zaprowadzono nas do fotografa, którego zakład mieścił się gdzieś w podwórku na I piętrze. Tam zawieszono nam na sztykach tabliczki z numerami i zrobiono zdjęcia z przodu i z boku. Wymyć i sfotografowani wróciliśmy na teren restauracji.

W dzień mogłem lepiej się rozejrzeć w terenie. Szczególnie zainteresował mnie długi wąski budynek, jakich u nas nie spotykałem. Była to kręgielnia. Na obiad dano nam zupełnie selerową z kartoflami i chlebem. Bardzo mi smakowała. Była gęsta z dużą liczbą żółtych kartofli. Te żółte ziemniaki cały czas już mi towarzyszyły na niemieckim wygnaniu, bo chyba białych nie uprawiali. Po obiedzie zaczął się „targ niewolników”. Ustawiono nas w długim szeregu na podwórku przed budynkiem. Taksowała nas grupa niemieckich bauerów. Kilku trzymało w rękach końskie baty. Obchodzili nas, oglądali i wybierali. Oczywiście interesowały ich „silne sztuki”, z których za darmo mieliby pożytek w swoich gospodarstwach. Nas jakoś omijali. Przypuszczam, że miała tu wpływ postać mojej mamy, stosunkowo potężnej, o nogach nabrzmiąłych i z żyłakami. „Niesprzedaną” dziewięcioosobową grupę zabrał sympatycznie wyglądający, przystojny młodzian w butach gumowych z cholewami, w płaszczu i tyrolskim kapeluszu. Jak się później okazało był to syn dzierżawcy majątku, do którego zawiózł nas pociągiem. Majątek nazywał się Dominium Prieborn (Przeworno). Jedną stację wcześniej, w miejscowości Krummendorf (Krzywina), wysadzono matkę z córką – Lilką Kluczyk.

Droga ze stacji była długa (około 1,5 kilometra), błotnista, a wokół panowała idealna ciemność. W miarę zbliżania się do zabudowań majątku coraz donośniej słychać było ryk krów. Przeprowadzono nas przez wielki dziedziniec i umieszczono w dwupiętrowym budynku, w którym mieszkali polscy i ukraińscy robotnicy, sami i z rodzinami. Na parterze mieszkał Niemiec – oberszwajcar. Nasze trzy rodziny: Olechowską z córką Jadwigą, Kucharską z siostrą Franciszką Zakrzewską i córką Henią oraz mnie z mamą, rozlokowano u rodzin polskich. Większość robotników pochodziła ze wsi i przebywała

w Przewornie od kilku lat. My znaleźliśmy się w rodzinie świniarza. Niewiele wiedzieli o powstaniu, toteż do późnej nocy opowiadaliśmy o nim i o tym, co dzieje się w kraju. Nas natomiast ciekawiły warunki życia i pracy w majątku.

Rano kazano nam pójść do biura, w którym poza urzędniczką dyrygował inspektor – ekonom z dużym brzuchem. Wyposażono nas w koce (w beżowo-brązowe kwadraty), emaliowane kubki blaszane, miski do mycia i gliniane mydło. Kobietom powiedziano, że będą pracowały w polu przy zbieraniu ziemniaków i buraków cukrowych. Jadź inspektor zatrudnił w swoim domu, a mnie na usilne prośby mamy w warsztacie stelmacha. Jedynie najmłodszą z nas Henię Kucharską zwolniono od pracy. Siódemce naszej przydzielono pokój na poddaszu jednopiętrowego domu zamieszkałego przez rodziny robotników niemieckich. W pokoju tym stały dwie piętrowe, drewniane prycze oraz kuchenka – koza, na której gotowaliśmy sobie jedzenie. Na jednej pryczy ulokowała się rodzina Kucharskiej, na drugiej na dole ja z mamą, a nad nami Olechowskie.

Warsztat stelmacha znajdował się w oddzielnym budynku, w którym poza stołami stolarskimi były maszyny do obróbki drewna, takie jak: piła taśmowa – banzega, heblarka – wyrówniarka (Abrichtmaschine) i wiertarka. Piła tarczowa – kraizega zainstalowana była na zewnątrz, pod dachem. Było też specjalne stanowisko do obrabiania na siedząco drewna ośnikiem, na przykład zębów do grabi. Pomimo mojego młodego wieku praca stolarska była mi znana, bo wychowałem się przy ojcowskim warsztacie stolarskim. Przyglądałem się pracy ojca, a czasem sam robiłem sobie i kolegom różne rzeczy z drewna.

W warsztacie pracowało nas sześciu: majster – Niemiec, trzech jeńców rosyjskich (Kapustin, Nosol, a nazwiska trzeciego nie pamiętam), ja oraz jeniec belgijski – z zawodu nauczyciel o zdolnościach artystycznych. Przyjęli mnie z niedowierzaniem, że do czegoś się przydam. Pierwszą moją pracą było wykonywanie grabi. Z grubych desek na pile tarczowej wycinałem styliska, które ostrugiwałem na wyrówniarce. Pamiętam jak za pierwsze styliska majster mnie strasznie zrugął, bo nie uwzględniłem przy cięciu ubytku na rzaz (szparę po przecięciu piłą). Nad głową wymachiwał mi drzewcem i tylko czekałem, aż nim dostanę. Następnie wykonywałem już prawidłowo. Doszedłem do takiej wprawy, że stałem się w warsztacie wyłącznym wytwórcą kompletnych grabi. Jak skończyły się grabie, to robiłem całkiem zgrabne skrzynki na węgiel, z uchwytem do przenoszenia, malowane na czarno. Nieufność, którą mi okazywali, po kilku dniach minęła.

Najbardziej żyłem się z Kapustinem, który pracował przy sąsiednim warsztacie i był poza mną najmłodszym. Pamiętam jak w tajemnicy pokazał mi swój największy talizman, którym była czerwona gwiazda z sierpem i młotem z jego wojskowej czapki. Belg podarował mi dla mamy wykonane i pomalowane przez siebie w stylizowane kwiaty drewniane pudełko na przybory do szycia. Majster, jak na Niemca, był całkiem porządnym człowiekiem. Czasami dostarczał nam coś do jedzenia za przyniesione mu ukradkiem, przeze mnie i Kapustina, kosze drewna na opał. Porozumiewaliśmy się własnym językiem niemiecko-rosyjsko-polskim. Praca w warsztacie, chociaż była ciężka, dawała mi pewne zadowolenie, ponieważ uważałem, że w ten sposób nauczę się zawodu. Poza wspomnianymi robotami szkliłem okna, malowałem fungolem wrota do obór i sprzątałem warsztat. Raz w tygodniu wywoziłem na ogólne gnojowisko ekskrementy z przywarsztatowego ustępu. Miał on pod deską z otworem wysuwaną z boku skrzynkę drewnianą na płozach, wykładaną słomą.

Z uwagi na liczne bombardowania były trudności ze szkłem okiennym, a szczególnie z dużymi jego wymiarami. Okna na wsi i w miastach wypełniały małe szybki. Większą szybę trzeba było sprowadzać z Wrocławia. Taką też przywieziono do oszklenia obrazu dzierzawcy majątku. Przycięciem szyby i oprawieniem, z uwagi na ważność sprawy, zajmował się sam majster. Obraz postawił w pobliżu imadła, na którym zdejmowałem okucie z połamanego orczyka. Zardzewiałe śruby trudno było odkręcić dużym ciężkim kluczem. Klucz oślizgnął mi się i uderzył w obraz tłukąc szybę. Majster wpadł w szal, darł się na mnie, wymyślając od najgorszych. Po kilku dniach do warsztatu przyszedł sam dziedzic, rozmawiał z majstrem i zapytał o obraz. Ten pokazał mu pękniętą szybę i wskazał mnie jako sprawcę. Dzierżawca zainteresował się moją osobą i kazał pokazać sobie rzeczy przeze mnie zrobione. Ze zdumieniem oglądał moje grabie i pojemniki. Wypytywał skąd pochodzę i gdzie nauczyłem się stolarstwa. O złotej szybie nawet nie wspomniał. Po miesiącu przywieziono nową szybę i obraz trafił do pałacu.

Z pałacem wiąże się inne moje wspomnienie. Któregoś dnia majster kazał mi i Rosjanom iść rozładowywać wóz z węglem i znosić go do piwnic pałacowych. Węgiel nosiliśmy w wiklinowych koszach i w workach. W piwnicach stały wielkie kamionkowe kadzie z kiszonymi ogórkami. Rosjanie wpadli na pomysł wynoszenia ogórków na dnie pustych koszy. Ogórki były bardzo dobre, toteż pełen ich worek trafił przez ogrodzenie do obozu ruskich jeńców. Kilka i ja przyniosłem do domu w kieszeniach.

Kiedyś wysłano nas do reperowania okien i uzupełniania szyb w sąsiadującym z folwarkiem stalagu. Miałem możliwość zapoznać się z warunkami życia jeńców. Obóz zlokalizowany był na terenie nieczynnej gorzelnii przy drodze prowadzącej do stacji. Podzielony był na dwie części – jedną zajmowali

Rosjanie, drugą jeńcy objęci konwencją genewską: Belgowie, Francuzi i Włosi z armii marszałka Badoglio. Różnice pomiędzy obiema częściami były niesamowite. Rosjanie przebywali w hali starego budynku bez ogrzewania. Spali na betonowej podłodze w barłogu z mocno zniszczonej słomy. Ubrani byli w stare, połatane i ufarbowane na kolor ciemnozielony mundury po Wehrmachcie. Na plecach, żółtą farbą, wymalowany mieli napis OST (wschód) lub KG (Kriegsgefangene) – jeńiec wojenny. Tylko czapki mieli własne, różnego rodzaju, w tym i budionnówki. Obuwie stanowiły zniszczone drewniaki i krótkie onuce. Pomieszczenia pozostałych narodowości znajdowały się w części jednopiętrowej przystosowanej do mieszkania ludzi. Były drewniane podłogi, prycze z siennikami, miednice do mycia, szafki, stoły i taborety, wieszaki itp. Umundurowanie mieli własne: czapki wojskowe, skórzane pasy i także buty. Wyglądali bardzo porządnie i jakościowo lepiej niż Niemcy. Z wyżywieniem i paleniem nie mieli kłopotu, ponieważ otrzymywali paczki z Czerwonego Krzyża.

Raz majster wysłał mnie do kowala po jakieś potrzebne mu narzędzie. Powiedział mi jego długą i skomplikowaną nazwę. Przez całą drogę powtarzałem ją sobie, lecz kiedy doszedłem do kuźni, która była dość daleko – zapomniałem. Oczywiście wróciłem bez niczego i oberwałem rugę. Dopiero po napisaniu nazwy na kartce sprawę załatwiłem.

Któregoś dnia zawieźli mnie do Krummendorfu, filii naszego majątku. Przez cały dzień malowałem tam wrota do obory. Od kurczowego trzymania pędzla i ciekącego mi po rękę impregnatu zrobiły mi się na palcach pęcherze, które popękały, a żrący płyn pogarszał jeszcze ten stan. Do domu wróciłem z krwawiącymi ranami.

Za pracę otrzymywaliśmy zapłatę w markach. Jako pomocnik stelmacha zarabiałem o kilka marek więcej od mamy, która zatrudniona była przy zbieraniu buraków, łataniu worków oraz wykonywaniu innych robót pomocniczych i porządkowych na terenie majątku. Za zarobione marki niewiele można było nabyć. Prawie wszystko było na kartki, nawet holcschue (drewniaki). Bez kartek można było kupić piwo, artykuły piśmienne i czasami, zanosząc kaszę do rzeźnika, można było dostać krwawą kiskę do przyniesionego garnka. Również markami można było zapłacić za usługi fryzjerskie. Tam, po raz pierwszy, moje włosy na głowie zetknęły się z elektryczną maszynką.

Gorzej było z ubraniem. Z Warszawy wyszedłem w wojskowych niemieckich butach, z których wyrosłem, a spodnie mi się podarły. Do pracy chodziłem w kupionych na kartki drewniakach. Jakimś cudem mama nawiązała kontakt listowny z Grygami, którzy pozostali we Wrocławiu. Dowiedziała się, że prowadzony jest tam pokątny handel i że wiele rzeczy można kupić. Dostała przepustkę, pojechała i za papierosy kupiła mi szarą drelichową kurtkę jakiejś niemieckiej formacji, zielone żandarmerskie spodnie i stare francuskie buty wojskowe. Spodnie były zbyt obszerne, tak że nosiłem je mocno ściągnięte paskiem. Kurtkę również miałem spiętą grubym skórzanym pasem, a na głowie uczniowską granatową czapkę z niebieską wypustką i z lakierowanym wpół zgiętym daszkiem.

W dni powszednie nie było wiele czasu, bo z roboty przychodziło się o zmierzchu. Wolna była niedziela i można było pospacerować po wsi i po otaczającym ją terenie. Oddalanie się od domu z przemocowanym do kłapy znakiem „P” groziło pobiciem przez rozwydrzonych wyrostków z Hitlerjugend. Zdarzało się, że z nudów (brak jakichkolwiek polskich książek) podbierałem mamie papierosy i paliłem ukradkiem na przechadzkach. Ze spacerów tych w pamięci pozostał mi mały uroczy domek z łukiem nad wejściem i z wypielegnowanym ogródkiem, obsadzony świerkami czy też tujami. Mieszkało w nim starsze małżeństwo. Położony był po zachodniej stronie drogi między gorzelnią a wjazdem do folwarku. Bardzo nam się podobał. Zachował się po wojnie, lecz wydał mi się znacznie mniejszym niż wtedy.

Raz albo dwa razy byłem z mamą u pani Kluczyk i jej córki w Krummendorfie. Lilka, która i nas odwiedzała, nauczyła mnie kilku włoskich piosenek, poznanych od przebywających tam Włochów.

Dwa lub trzy razy byliśmy w kościele katolickim, który mieścił się na zachodnim skraju wsi, przy drodze do obecnych Siemysławic. Przed naszym przyjazdem w niedziele o określonej godzinie wygłaszane były kazania w polskim języku.

W jedną ze śnieżnych niedziel wszystkich mężczyzn pracujących w folwarku zabrano do nagonki przy polowaniu na zające. Każdy z niemieckich myśliwych miał przydzielonego „niewolnika” z koszem na plecach i z numerem myśliwego do zbierania upolowanych szaraków. Jeden z łowczych uderzył w twarz swojego tragarza – jeńca francuskiego, za to że za wolno zbierał zające. Ten mu oddał i głośno oświadczył, że jest objęty konwencją genewską i nikt nie ma prawa go bić i zatrudniać do tego rodzaju pracy. Niemcy rzucili się na Francuza, którego zaraz zabrali wachmani. Nigdy więcej już go nie widziałem. Zmęczeni, przemoczeni i zdenerwowani zajściem dostaliśmy gorącej grochówki, która trochę załagodziła powstałą sytuację.

Były okresy, że nie czuło się wojny i wydawało się, że nasza niewola nigdy już się nie skończy. Na to, że Niemcy zostaną całkowicie pobici nie liczyliśmy. Czasami myślałem, że już na zawsze zostaniemy ich niewolnikami. Przyjaźnił się z belgijskim jeńcem Józkiem (Josef De`Rjek lub de Rieck), który pracował w folwarku jako traktorzysta. Pochodził z Konga. Opowiadał nam o swoim życiu w Afryce i jak uratował swoją siostrę zaatakowaną przez lwa, zabijając go. Przed ewakuacją jeńców przyszedł

pożegnać się z nami. Pokazał nam mały pistolet, który dostał od jakiejś Niemki i powiedział, że jeśli dojdzie do tego, że Niemcy będą chcieli go zabić to najpierw zastrzeli kilku z nich, a potem siebie. Na pamiątkę dał mi swoje zdjęcie, które do dzisiaj posiadam. Nie wiem, co się z Józkiem stało. Jego częste odwiedziny wynikały chyba z sympatii do naszej Jadzi.

Odwiedzała nas też stara Niemka – sąsiadka, którą nazywaliśmy szejne frau, ponieważ tylko ona jedna psioczyła na Hitlera. Współczuła nam i czasem przynosiła coś do jedzenia. Jej sąsiad – stary kierowca – nosił w klapie znaczek, który przypominał nam Polskę. Przedstawiał on oponę z napisem „Stomil”. Nie wiem, dlaczego to robił. Czy powodowała to dobra jakość polskich opon? Sympatia do firmy? Czy też był to zwykły zbieg okoliczności?

Poza odwiedzinami przyjmowanymi z zadowoleniem, zdarzył się przypadek, który dla mnie mógł się skończyć tragicznie. Któregoś wieczoru, kiedy zmęczony po pracy zasnąłem na pryczy, wpadł do pokoju za panią Olechowską pijany oficer i kazał wszystkim wynieść się na zewnątrz. Spałem jak zabity. Szarpanie Niemca i zrzucenie z posłania nie obudziły mnie. Mama pobiegła prosić o pomoc przebywających w pobliżu żołnierzy. Pijany Niemiec wyjął pistolet i groził, że jak nie wstanę to mnie zastrzeli, a ja dalej spałem. Przybiegła z jakimś oficerem, który powstrzymał pijaka i zmusił do opuszczenia mieszkania. O całym zdarzeniu dowiedziałem się dopiero w nocy, gdy się obudziłem. W taki to sposób uratowałem mimo woli panią Olechowską przed zalotami szwaba.

Nasza obecność w majątku wywoływała zainteresowanie wśród Polaków pracujących u bauerów we wsi poza folwarkiem. Zaprzyjaźniliśmy się szczególnie z małżeństwem z Sosnowca o nazwisku chyba Kamińscy, pracującym w samym środku wioski. Mieszkali w zielonym domu, w pokoju, którego okna wychodziły na drogę. Jak na warunki wojenne żyło im się całkiem dobrze. Właściciel gospodarstwa – Niemiec, był przez sosnowianina tak zdominowany, że Polak czuł się jak na swoim. Kamiński za wiedzą wystraszonego gospodarza robił na lewo masło, które wspólnie zużywali, a nawet wymieniali z jeńcami francuskimi na różne artykuły otrzymywane przez nich w paczkach. W czasie wojny Niemcom nie wolno było zostawiać sobie żadnych płodów rolnych – wszystko musieli sprzedawać państwu, które na kartki dostarczało im przydziałowe racje, oczywiście znacznie większe niż dla Polaków. Stary bauer bał się, że Polak może go wydać i tolerował wszystkie jego poczynania. Umożliwił mu słuchanie radia w języku polskim z Londynu. Do sosnowianina po robocie, a szczególnie w niedzielę, przychodziło wielu Polaków ze wsi, by sobie pogadać i dowiedzieć się, co dzieje się na świecie. Oczywiście spotkania odbywały się z poczęstunkiem. Najczęściej był to słodki placek upieczony w folwarcznej piekarni. W soboty Niemcy i Polacy, którzy tu już dłużej przebywali, przynosili do wypieku w piekarni, na płaskich blachach, swoje cienkie ciasta.

Ze spotkań u Kamińskich zostały mi w pamięci szczególnie dwa. Jedno to Wigilia w 1944r. Była tak obfita i urozmaicona zagranicznymi wiktuałami, że podobnej nie mieliśmy przez cały okres wojny. Gospodarz dzięki swojemu handlowi wymiennemu, zgromadził na tę świąteczną kolację takie specjały jak sardynki oraz inne rybne konserwy, pomarańcze, banany i daktyle. Były też francuskie wina, nie mówiąc już o w miarę dostępnych potrawach pochodzenia miejscowego, w tym różnych ciast. Kiedy wszyscy goście się zebrali, jeden z biesiadników zaproponował, by sosnowianin poprosił starych bauerów samotnie siedzących w swoim mieszkaniu. Niemcy zaproszenie przyjęli i przyszli do nas. Tak jak i my oszołomieni byli przyjęciem.

Drugie szczególne spotkanie u Kamińskich miało miejsce któregoś zimowego wieczora. Po spotkaniu wyszliśmy z mamą w nocy na zewnątrz i zobaczyliśmy w świetle księżyca i na tle jasnego śniegu pochylone, opatulone, zmęczone ludzkie postacie z tobołkami w rękach lub na plecach. Z obu stron szosy stali wachmani z karabinami wymierzonymi w kierunku konwojowanych. Widok ten cofnął nas do domu. Przez okno, przy wygaszonym świetle, obserwowaliśmy niesamowity pochód. Wydawało się nam, że są to więźniowie ewakuowanego obozu koncentracyjnego. Gdy po około godzinie konwój przeszedł, a Niemcy zwinęli strażę, poszliśmy do swojej kwatery w folwarku. Tam dowiedzieliśmy się, że byli to jeńcy angielscy ewakuowani z obozu w głąb Niemiec, prawdopodobnie z Lamsdorfu (Łambinowice).

Transporty ze względu na ostrzał lotniczy odbywały się nocami. Część jeńców zatrzymała się w naszym majątku. W tym czasie sam zostałem w warsztacie. Jeńców rosyjskich i belgijskich wywieziono, a majstra wcielono do Volkssturmu. Jak się później dowiedziałem został ranny. Wokół warsztatu koczowali na ziemi jeńcy. Gdy dowiedzieli się, że jestem Polakiem z Powstania Warszawskiego, obdarowali mnie mydłem toaletowym, dali mi koszulę, angielską furazerkę wojskową i inne rzeczy. Ja w zamian zrobiłem im kilkanaście sanek, które ułatwiły im transport tobołów po śniegu.

W czasie rozmów u Kamińskich od jednego z gości dowiedziałem się, jak zdobywa się kobiety. Nie siłą tylko stopniowo, zaczynając od komplementów, delikatnych pocałunków, aż do zetknięcia kolanami. Jeśli dziewczyna wpuści kolano między swoje to znaczy, że jest już twoja. Dużo słyszałem o sprawach męsko-damskich, jakie działy się w folwarcznym budynku, w którym mieszkali Polacy i Ukraińcy. Wielkie powodzenie miał przystojny Ukrainiec, który co pewien czas zmieniał sobie partnerkę, a dziewczyny dosłownie biły się o niego. Nawet dochodziło do tego, że wyciągały go z łóżek

rywalek. Wiele było panien z dziećmi. W czasie pracy matek dzieci przebywały w przyfolwarcznym żłobku.

Ostatnią kartę pocztową od mojej siostry otrzymaliśmy w grudniu. W czasie powstania przebywała u rodziny na kielecczyźnie. W styczniu była już wyzwolona.

Po kilku dniach samotnego działania w warsztacie, powiadomiono mnie, że mam zgłosić się do pracy w oborze. Pierwszym moim zajęciem było ubijanie sterty gnoju przy użyciu trzech wołów. Było to moje pierwsze zetknięcie z tego rodzaju zwierzętami. Wiedziałem, że łagodniejsze są od byków, lecz o ile – nie miałem pojęcia. Woły miały na sobie uprząż z przywiązаныmi linkami, którymi miałem je za sobą prowadzić. Wszystko było dobrze kiedy szedłem pierwszy, a one za mną. Gorzej gdy mnie obstały, a ja zostałem w środku. Bałem się, że mnie pobodą. Zaczęły się zbliżać, a ja nie miałem możliwości ucieczki. W pewnej chwili utworzyła się luka, w którą wskoczyłem i znalazłem się na zewnątrz. Więcej już taka sytuacja nie powtórzyła się i do południa wspólnie spacerując ubijaliśmy gnój. Na przerwę obiadową zaprowadziłem woły do obory i poprosiłem „szwajcarów” (oborowych), aby je rozprzęgli i ustawili w boksach. Nikt nie chciał mi pomóc, a sam się bałem. Zostawiłem woły, zasunąłem wrota i poszedłem do domu. Po obiedzie do obory nie wróciłem i powiedziałem mamie, że boję się wołów i do takiej pracy nie pójdę. Jakoś nie zauważyli mojej nieobecności, a następnego dnia udałem, że jestem chory. Mama powiadomiła inspektora, a ten przysłał do mnie lekarza wojskowego. Lekarz zostawił mi termometr pod pachą, a sam wyszedł. Gdy wrócił na termometrze było już 39 stopni, oczywiście przy mojej dodatkowej pomocy. Dał mi zwolnienie na trzy dni i kazał leżeć w łóżku.

W tym czasie ludność niemiecka była już ewakuowana w Sudety. Zbliżał się front. We wsi zostało tylko kilku Niemców, a w majątku oberszwajcar z Polakami, Ukraińcami i Włochami. Niemcy pozostawili meble oraz część żywego inwentarza (króliki i kury), a w folwarku i u bauerów zostały krowy i byczki rzeźne. Mnie z mamą, panią Olechowską i z Jadzią przenieśli do wolnej izby na I piętrze. Przez te trzy dni „choroby” miałem fantastyczny wypoczynek. Rysowałem wojskowe konie widoczne z okna, montowałem różne zmyślne urządzenia oraz pojazdy z zestawu specjalnych drewnianych klocków z ruchomymi bolcami i kółkami, które od kogoś dostałem.

Znacznie poprawiły się warunki bytowe. Przy naszej pomocy, liczba karmionych przez nas niemieckich królików i kur zmniejszyła się.

W związku z tym, że nie było dla mnie innej pracy, musiałem wrócić do obory. Do moich obowiązków należało karmienie bydła, usuwanie gnoju i czyszczenie krów. Siano zrzucałem ze strychu znad obory, przez otwór w stropie. Przygotowywałem mieszankę z wytlókami buraczanymi. Krowy stały w podwójnych rzędach prostopadle do długości obory. Pomiedzy rzędami ich pysków, na podwyższeniu, był podest ograniczony kamionkowymi korytami. Karmę rozrzucano się wzdłuż podestu, a następnie brzożową miotłą, ruchem wahadłowym, napełniało koryta.

Wejścia na strych z sianem łączyło się z wylapywaniem królików pozostawionych tam przez Niemców. Królika zabijało się, chowało pod siano, a po pracy pod pazuchą wynosiło do domu. Raz zamiast nieżywego zastałem królika stojącego i bezczelnie mi się przyglądającego. Nie mogłem pozostawić świadka niedoszłej mojej zbrodni, dłuższy czas ganiałem go po ogromnym strychu, aż skutecznie się z nim rozprawiłem. Zapas uduszonych przez mamę królików dawał nadzieję na przetrwanie kilku dni w trudnej sytuacji, w jakiej mogliśmy się znaleźć w każdej chwili.

Najgorszą, bo najbrudniejszą robotą było usuwanie gnoju spod krów, ich czyszczenie i rozścielanie nowej podściółki ze słomy. Gnój narzucało się na drewniane, płaskie sanie ze stalowymi płozami. Siłą pociągową był zaprzęgnięty wół. Obornik wywoziło się na gnojowisko, znajdujące się na dziedzińcu głównym folwarku, oddalone kilkadziesiąt metrów od obór. Zapierając się widłami o stertę gnoju na saniach i popędzając woła zsuwałem ładunek w upatrzone miejsce. Z wołami tak się oswoiłem, że na gnojowisko jeździłem „wierzchem” na ich twardym, kościstym grzbiecie. Dojeniem krów zajmowali się szwajcarzy, którzy mieli wyższy stopień w hierarchii oborowej. Śmieszyły mnie ich jednonożne stołki z okrągłym siedzeniem, przymocowane paskiem w górnej części ud.

Przez kilka dni „opiekowałem” się chorym, kilkumiesięcznym źrebakiem – perszeronem. Karmiłem go mlekiem, głaskałem i przytulałem. Któregoś ranka zastałem go martwego. Strasznie było mi żal. Pozostał na zawsze w mojej pamięci.

Do moich obowiązków, wspólnie z innym parobkiem, należało też karmienie byczków – bukatów pozostawionych we wsi u jednego z bauerów. Któregoś dnia zauważyliśmy, że na wrotach stodoły wisi karabin. Pierwszego dnia karabinu nie ruszyliśmy, ale w dniu następnym upewniwszy się, że na terenie gospodarstwa nikogo nie ma, schowaliśmy go w sianie nad oborą, zakładając, że może przydać się, gdy nadejdzie front. Jeszcze wcześniej znalazłem kompletny wojskowy bagnet, który ukryłem w skrzyni z piaskiem na poddaszu domu. Tak potoczyły się nasze dalsze losy, że broń się nie przydała.

Z pracy w oborze pozostało mi jedno dramatyczne wspomnienie. Miało to miejsce w końcu lutego. Po rannym udoju zostało kilka baniek przydziałowego mleka do rozdzielenia wśród robotników folwarcznych. W tym czasie przyjechali niemieccy żołnierze i chcieli je zabrać. Szwajcarzy odmówili wydania. Żołnierze odjechali, ale za kilkanaście minut była już feldżandarmeria. Otoczyli oborę i kazali

nam wyjść na zewnątrz z podniesionymi rękami. Nie wiedzieliśmy, co z nami zrobią. Coś poszwargotali i kazali nam się przebrać i pożegnać z rodzinami. Rozpacz była ogromna. Przy szlochu otaczających nas kobiet i dzieci, pod karabinami, ustawili nas w kolumnę i popędzili drogą w kierunku stacji kolejowej. Przed stacją droga rozwidła się. W lewo prowadziła na strzelnicę, a w prawo na dworzec. Gdy skierują nas w lewo to znaczy, że nas rozstrzelają. Gdy pójdziemy w prawo to gdzieś nas wywiozą i może będzie szansa na przeżycie. Na nasze szczęście popędzili nas w kierunku stacji do magazynów kolejowych. Kazali nam przeladowywać worki ze zbożem dowożone pod rampę małymi rosyjskimi wozami konnymi przez żołnierzy w mundurach Wehrmachtu o mongolskich rysach twarzy. Wyładowywaliśmy je, a następnie jeśli były podstawione wagony, przenosiliśmy do nich. Gdy wagonów nie było, układaliśmy je w magazynie w sterty. Dźwiganie stukilogramowych worów we dwóch było ponad moje siły, ślaniałem się na nogach. Ale znalazł się dla mnie wózek, co znacznie ulżyło mi w tej pracy. Po około 12 godzinach, późnym wieczorem, kazali nam wracać do domu. W drodze powrotnej, wśród ciemności zauważyliśmy, że w naszej grupie jest kilku dobrze ubranych mężczyzn. Okazało się, że byli to nasi Włosi, którzy w czasie gdy my pracowaliśmy, zamelinowali się w magazynie z odzieżą, powybiali sobie przydatne rzeczy i założyli na siebie. Po pracy dołączyli do nas. Na otarcie łez każdemu dali jakąś część ubrania. Mnie przypadł krawat. Resztkami sił dowlokłem się do domu. Radość z powrotu była ogromna. Mama rozebrała mnie, umyła, nakarmiła i położyła do łóżka. Nie byłem już zdolny do jakiegokolwiek wysiłku.

Po kilku dniach Przeworno zbombardowali Rosjanie. Na nasz dom spadło około dziesięciu pięciokilogramowych bomb. W piwnicznym schronie pod budynkiem znaleźliśmy się razem z żołnierzami z niemieckiej dywizji pancerniej, którzy akurat w tym czasie zatrzymali się na postój w majątku. Po przejściu powstania i wcześniejszych nalotów na Warszawę takie drobne bombardowanie nie robiło na mnie wielkiego wrażenia. Było mi już wszystko jedno. Obserwowałem żołnierzy i widziałem ich przerażenie. Jeden z nich, młody, w furazerce z trupią główką, złapał się kurczowo za moją rękę i cały trząsał się ze strachu. Ja stałem wyprostowany jak struna i pomimo wewnętrznego niepokoju nie chciałem okazać swojego lęku. Mieszkanie nasze ocalało, sąsiednie i parterowe były uszkodzone. We wsi paliło się kilka domów. Przypuszczam, że przyczyną bombardowania była obecność wojska.

Dostaliśmy wiadomość, że następnego dnia mężczyźni mają pędzić bydło, a kobiety ewakuowane będą oddzielnie. Z wieści, które do nas docierały wiedzieliśmy, że Rosjanie strzelają z samolotów do krów, a przy tym giną ludzie pędzący stada. Postanowiono wykorzystać zamieszanie spowodowane bombardowaniem i uciec ze wsi. Do zabrania dobytku miał posłużyć nam wóz konny z folwarku. Jednak ktoś nas ubiegł i konia zastąpił wół. Załadowaliśmy nasze tobołki i po ciemku, w grupie około dwudziestoosobowej, boczną drogą południowego skraju Przeworna opuściliśmy wieś. Pozostał za nami skwierczący ogień, dym i łuna pożaru oraz wspomnienia ciężkiej harówki. Ucieczką naszą kierowali Polacy od lat pracujący w majątku, znający dobrze teren i język niemiecki. Na wozie leżały tylko rzeczy uciekinierów, a my szliśmy obok. Posuwaliśmy się polnymi drogami omijając tereny zabudowane. Nad ranem wydostaliśmy się na bitą drogę. Przed majątkiem w Dobroszowie zatrzymaliśmy się, a jeden z naszych poszedł do biura folwarku zapytać, gdzie kierowani są tacy jak my. Wszedł akurat w trakcie rozmowy telefonicznej, z której zorientował się, że nas poszukują i gdybyśmy zgłosili się to mają powiadomić żandarmerię. Niepostrzeżenie wymknął się, a tym, co usłyszał podzielił się z nami. Postanowiono jechać do następnego majątku. Zmęczony po nieprzespanej nocy, szedłem obok wozu trzymając się kłonicy i jednocześnie drzemiąc. Hałas obręczy kół, przeżyte bombardowanie i szum w głowie powodowały wrażenie warkotu lecących nad nami rosyjskich samolotów. Pomimo końca lutego było ciepło. Słońce przygrzewało i czuło się nadchodzącą wiosnę. Po całym dniu wleczenia się w tempie, jakie narzucał nam wół, dobiliśmy do majątku chyba w Białym Kościele. Przez cały czas nikt nas nie zatrzymywał ani się nami nie zainteresował. W folwarku pozwolono nam przespać się na słomie w opuszczonej oborze. Rano z innymi uchodźcami wypędzono nas, kierując do obozu we Frankenstein (Ząbkowice Śląskie). Tak dołączyliśmy do uciekinierów wałęsających się po drogach III Rzeszy. Nasz brunatny wół nieprzyzwyczajony do chodzenia po drogach o ostrej nawierzchni, po jednym dniu tak sobie zdarł racice, że broczyła z nich krew. Trzeba było owinąć mu nogi workami. Wół często stawał i nie chciał dalej iść. Nie pomagało podstawianie mu przed nozdrza wiązki siana, a nawet bicie kołkiem. Siadaliśmy w przydrożnym rowie i czekaliśmy na zmianę humoru naszego oksa. Dwie rodziny, które miały swój dobytek załadowany na małe wózki (miniatura dużego wozu konnego), przyczepione do naszego wozu, zniecierpliwione odczepiały je i same ciągnęły swój bagaż.

Pod wieczór dobrnęliśmy do majątku w Bobolicach. Pracujący tutaj Polacy przyjęli nas bardzo serdecznie. Jedno małżeństwo zabrało mnie z mamą na noc do siebie. Opowiadaniom o naszych i ich przeżyciach nie było końca. Jedno utkwiło mi w pamięci. Przed nami przez ich wieś przechodził oddział polskiego wojska w pełnym umundurowaniu i z bronią, a prowadził ich oficer SS. Nie bardzo wierzyłem, by Niemcy mogli na coś takiego się zdobyć.

Następnego dnia byliśmy już w Ząbkowicach Śląskich. Tu skierowali nas do Arbeitsamtu, gdzie spisano nasze personalia. Sam obóz znajdował się na końcu miasta w jakimś starym, nieczynnym

spichlerzu czy młynie. Woła zabrano na rzeź. My znaleźliśmy sobie jakieś miejsce na podłodze z rozrzuconą słomą. Tu spotkaliśmy panią Kluczyk z Lilką. Po otrzymaniu kubka kawy i kromki czarnego chleba zapoznaliśmy się z sytuacją w obozie. Znajdowało się tu skupisko ludzi różnej narodowości. Czulo się radość ze zbliżającego się końca wojny i kresu tułaczki. Wieczorem grano, tańczono i śpiewano w różnych językach i melodiach z całej Europy. Nawiązywały się znajomości i powstawały przelotne, a może i trwale związki uczuciowe. Nie odczuwało się obecności pilnujących Niemców. Po jednodniowym pobycie i poznaniu miejscowych warunków na zapytanie – kto chce jechać do pracy w folwarku przy linii frontu – nasza warszawska dziewiątka zgłosiła się pierwsza. Mając już doświadczenie wiedzieliśmy, że łatwiej jest wyżywić się na wsi niż siedząc w obozie i czekając na miskę ohydnej zupy ze zgniłych produktów z piachem. Ostatni okres samozaopatrzenia się przyzwyczail nas do trochę lepszych warunków niż obozowe.

Wieczorem, gdy transporty były mniej narażone na ostrzał z samolotów rosyjskich, załadowano nas i powieziono do folwarku w Doboszowicach (a może w Kamieńcu Żąbkowickim). Tam przekazano nas sołtysowi (burgemaistrowi) z poleceniem nakarmienia i przenocowania. Dostaliśmy mleko, świeży chleb prosto z piekarni (jeszcze ciepły) i po kawałku masła. Takiego żarcia dawno nie mieliśmy. Kolacja była na świeżym powietrzu, przy księżycu. Siedzieliśmy na stercie słomy. Grupa nasza liczyła około trzydziestu osób. Był wśród nas artysta operetkowy, który przy wtórce organków śpiewał popularne arie, a wspólnie śpiewaliśmy pieśni powstańcze i patriotyczne. Wieczór był uroczy. Spaliśmy w stodole na słomie ułożonej na klepisku. Rano gdzieś około piątej obudziło nas bombardowanie Kłodzka. Nastrój był dobry, bo odgłosy bomb przybliżyły nam dzień wyzwolenia. Łatwiej było rozprostować kości po niewygodnym spaniu i zmarznięciu w przewiewnej stodole. Słoneczny dzień spędziliśmy razem z krowami przynanymi tu spod frontu na pastwisko. Czekaliśmy na wieczorny transport, który miał nas dowieźć do wyznaczonego folwarku. Jedzenia już nam nie dano. Uważali, że wczorajsza kolacja była wystarczająca.

Po ciemku wojskowym ciężarowym samochodem przewieziono naszą warszawską grupę do Neuhaus (Chałupek) i pozostawiono u sołtysa. Byli z nami wszyscy z Przeworna oraz Lilka z mamą, z Krzywiny. Sołtys poczęstował nas dobrą kolacją. Pierwszy raz jadłem tam rosół z wieprzowiny. Na noc zakwaterowano nas w kilku gospodarstwach na wsi. My z mamą trafiliśmy do samotnej starej Niemki, która wyznaczyła nam miejsce do spania na podłodze.

Rano żołnierz zabrał z domów mężczyzn do pędzenia krów. Znowu powtórzył się moment rozstania z matką. Nie wiadomo na jak długo i czy nie na zawsze. Zebrał nas około piętnastu. Szliśmy z Chałupek przez Lubnow (Libenau) – wieś ciągnącą się około dwa kilometry. Gdzieś na małym łuku drogi usiadłem w rowie, zdjąłem but i zacząłem go kamieniem „reperować”. Siedziałem tak z 15 minut. Nikt po mnie nie wrócił. Zostałem sam. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Postanowiłem wrócić do mamy. Niemce powiedziałem, że puścili mnie, bo obtarłem sobie nogę.

Koło południa zebrano naszą dziewiątkę i przyprowadzono do folwarku w Chałupkach. Właścicielem, jak później się dowiedziałem, był Graf von Harduval-Chamare, a dzierżawcą, który nas przejął, był stary Fritz Kramer. W biurze spisano nasze dane, a pozbawiony jednej ręki rządca – Słazak, nazywany „Ratajem”, mówiący po polsku, wskazał nam sztubę, w której mieliśmy mieszkać. Była to ostatnia izba w murowanym budynku na górze, naprzeciwko stodół i przez pole sąsiadująca z laskiem. Wyposażona była w żelazną kuchnię, prycze, stół i ławki. Przydzielono nam niezbędny sprzęt osobisty i rano następnego dnia pognano do roboty. Ja z początku pracowałem przy odkrywaniu kopców z kartoflami i ich przebieganiu. Następnie byłem zatrudniany w polu przy sadzeniu ziemniaków i sianiu zboża. Do ostatniego dnia wojny prace w majątku prowadzono zgodnie z rolniczym kalendarzem. Nie przypuszczałem, że plony naszej pracy zbierać będą Polacy, którym w wyniku zwycięskiej wojny przyjdzie żyć na tej ziemi. Praca, którą wykonywałem, przewyższała jednak moje możliwości fizyczne. Przy nakładaniu gablami ziemniaków, do koszyków kobiet je sadzących, zemdlałem na wozie. Musiałem uwijać się, by za wolno jadącym wozem nie tworzyła się kolejka. Zemdlałem tuż przed przerwą obiadową, tak że po ocuceniu, wólpriyotomnego przywieziono mnie wozem pod dom. Przez trzy dni, tym razem naprawdę chorowałem. Byłem tak osłabiony, że ledwie mogłem chodzić. Po chorobie, na skutek prośby mamy, „Rataj” dał mi lżejszą pracę. Chodziłem po polu za siewnikiem i stukalem w zapychające się ziarnem rurki.

Czasami z daleka docierały do nas odgłosy dział oraz eksplodujących bomb i pocisków. Wieczorami, przy ładnej pogodzie, z naszego wzgórze widać było nawet łuny z linii frontu.

Jedzenie sami sobie gotowaliśmy. Zapasy króliczego mięsa dawno się skończyły. Musiały nam wystarczyć racje kartkowe i „zorganizowane” w niewielkiej ilości płody rolne, takie jak ziemniaki, groch i kasza. Mała kuchnia nie pozwalała na jednoczesne przygotowanie jedzenia przez cztery gospodynie, dlatego czasami dochodziło do zatargów między naszymi mamami.

Chłopięca duma powodowała, że stroniłem od ciągłego przebywania z matką i po pracy chodziłem własnymi ścieżkami. Jednego dnia z przerwy obiadowej sam wracałem na pole leśną dróżką w kierunku Paczkowa (Patschkau), gwizdząc czy też podśpiewując sobie piosenkę „Hej chłopcy, bagnet na

broń”. Spostrzegłem mamę siedzącą pod drzewem i wsłuchującą się w melodię. Nie była wylewna w uczuciach tak jak ja, ale wtedy rozpląkała się i nic nie mówiąc przytuliła mnie do siebie. Moje oczy zrobiły się jakieś niewyraźne. Kiedy dziś wspominam to zdarzenie to coś ścisza mnie za gardło i dziwnie swędzą oczy. Nie wiem, o czym myślała. Może o tym jak potoczą się nasze dalsze losy? Czy podola utrzymać i wykształcić mnie i siostrę, bez męża, który już od przeszło trzech lat spoczywał na Cmentarzu Bródnowskim?

Któregoś dnia przy odkrywaniu kopców usłyszałem warkot samolotu. Tuż nad naszymi głowami przeleciał kukuruźnik – „dorożka warszawska”, jak je nazywaliśmy w czasie powstania z uwagi na ich charakterystyczny turkot. Oznakowany był czerwonymi gwiazdami. Niemcy do niego nie strzelali, może dlatego, że w Chałupkach nie było wojska. Dziwiłem się, że nie strzelali też volkssturmovcy. Nasi w 1939 roku strzelali z karabinów do samolotów lecących znacznie wyżej.

Jednego wieczoru Rosjanie zrzucili nad Chałupki „żyrandol”. Pamiętałem je jeszcze z okresu warszawskiego. Oświetlanie nimi terenu pomagało w rozeznaniu przyszłego miejsca działań wojskowych. Taki fajerwerk wywoływał duże wrażenie. Oglądałem go z Lilką, która wystraszona, kurczowo się do mnie przytulała.

Również do Chałupek docierały zakazane wiadomości radiowe. Przekazywał nam je Polak pracujący z żoną u bauera w sąsiedztwie folwarku – nauczyciel, wywieziony do Niemiec z łapanki. Słuchanie radia przez Polaka groziło obozem koncentracyjnym, a nawet śmiercią. Byli jednak ludzie odważni i nie bali się niczego.

Ze starym Niemcem noszącym wojskową czapkę z dwoma guziczkami nad daszkiem, z którym pracowałem przy zasiewach, pojechaliśmy wozem do Paczkowa po węgiel. W tym dniu był nalot i w pobliżu nas spadło kilka bomb mniejszego kalibru. Przerażony był tylko koń, który nienormalnie się zachowywał. Załadowaliśmy jednak węgiel i przywieźliśmy do majątku.

Kilka tygodni przed nadejściem frontu zatrzymała się we dworze jednostka pancerna. Żołnierze jak mrówki rozeszli się po całym terenie. Do nas w mundurze niemieckiego czołgisty wtrynął się jakiś Rosjanin, a może Ukrainiec. Mówił, że uciekł od ruskich i wstąpił do niemieckiej armii, ponieważ Niemcy są cywilizowanym narodem i tu można żyć. Tam to motłoch, który jest pędzony pod oficerskim pistoletem na humanitarną armię. On marzył tylko, aby dostać się na stronę amerykańską. Co do humanitarności faszystów to mieliśmy inne, własne doświadczenia. Ciekawe czy marzenie jego się spełniło? Zaśpiewał nam kilka melodyjnych rosyjskich piosenek, wśród nich „Katuszę”, którą tam po raz pierwszy usłyszałem.

Osmego maja Niemcy, cywile i wojskowi uciekli. Dzierżawca Kramer wydobyl w nocy ukrywany samochód i też czmychnął z rodziną. Zabrali konie i co cenniejszy dobytek. Zostali tylko Polacy. Od rana słychać było coraz głośniejsze strzały i wybuchy pocisków. Schowaliśmy się w piwnicy przyległej do stodoły i wyczekiwaliśmy na to, co może się zdarzyć. Po dość długim siedzeniu, przedostałem się do uchylonych drzwi wejściowych, znajdujących się na poziomie terenu. Zobaczyłem, że z lasku, w którym spotykałem dzikie króliki, wybiegł rosyjski oficer z pistoletem, machnął ręką i pociągnął za sobą tyralierę strzelających żołnierzy. Chyba strzelali na postrach, bo Niemców nie było widać. Kilku przebiegło obok nie zauważając nas. Dopiero po jakimś czasie zjawiała się grupka żołnierzy z oficerem i pytali, co my za jedni. Wszyscy wyszli z piwnicy, otoczyli ich i zadawali różne pytania. Ale najważniejsze było, czy Niemcy już nie wrócą. Nie gwarantowali nam tego, lecz dawali nadzieję, że raczej nie.

Ludzie nie wiedzieli, co ze sobą począć. Odruchowo chcieli zemścić się na Niemcach za swoje upodlenie, za śmierć bliskich, za niewolę, za Warszawę, za utracone domostwa i dobytek. Lecz tych, na których chcieli wyladować swą złość, nie było. Postanowili zdobyć coś z opuszczonych przez nich mieszkań, odzyskać choć trochę tego, co stracili. Przecież tak wiele będzie im potrzeba do nowego, może normalnego życia. W pierwszym rzędzie włamano się do domu Kramera. Zabierano wszelkie przydatne i mniej przydatne rzeczy, które dało się z sobą zabrać. Wyważano zamki, wybijano szyby, rozbijano szafy. Przy okazji niszczone wszelkie oznaki hitleryzmu, godła, portrety i napisy. I ja z nimi byłem, lecz mnie nie interesowały gałgany i ciuchy, których zresztą za wiele nie było. Oglądałem wnętrza domu i przeglądałem pozostawione fotografie. Z dworu zabrałem stary pudełkowy aparat fotograficzny i na pamiątkę kilka zdjęć folwarku oraz zdjęcie Kramera, które już wiele lat po wojnie podarłem. Z innymi chciałem dobrać się do jednej, jeszcze zamkniętej na klucz szuflady, w masywnym dębowym kredensie. Okazało się to jednak niemożliwe. Chyba tylko granat mógłby ją ruszyć. Na dziedzińcu dwie kobiety wyrywały sobie z rąk poduszkę, ale nadjeżdżający na koniu rosyjski żołnierz jednym cięciem szabli pogodził obie strony.

Niemcy już nie wrócili. Mieliśmy natomiast innych gości, którym zrazu chcieliśmy nieba przychylić, obdarować i ugościć. Było to trzech sowieckich żołnierzy, zagubionych i poszukujących swojej jednostki. Obstąpiliśmy ich przed naszym domem i wypytywaliśmy o wszystko. Dotykaliśmy ich mundurów, a nawet guzików. Cieszyliśmy się naszym wyzwoleniem, a ich zwycięstwem. Po dokładniejszym rozeznaniu okazało się, że byli to zwykli maruderzy, ciągnący się za frontem i używający życia na konto swych liniowych kolegów. Uzbrojeni byli w pepesze, a za pasami mieli gołe szable. Zionęło od nich

wódką. Spośród dorosłych dziewczyn wybrali sobie trzy, które poprosili o pokazanie im gdzie mieszkają. Te ochoczo poprowadziły ich do siebie. Żołnierze zaryglowali drzwi i dobierali się do nich. Dziewczyny zaczęły się niesamowicie drzeć. We trzech pobiegliśmy do wsi po pomoc. Po drodze spotkaliśmy jadącego na koniu kozackiego oficera w długiej pelerynie, podbitej błyszczącą czerwoną podszewką, w czarnej czapie z czerwonym denkiem, z szablą i pistoletem przy pasie. Po wyjaśnieniu, o co go prosimy, pognął w kierunku naszych zabudowań, a my biegiem za nim. W międzyczasie nasi sforsowali drzwi. Oficer grożąc zastrzeleniem, pojedynczo wyciągnął małowców od dziewczyn, równocześnie zabierając im broń. Jednemu, który najwięcej się stawiał, przyłożył na płask szablą po twarzy i nakazał im iść ze sobą. Jak się później dowiedzieliśmy, oficerem tym był komendant wsi. I taki to był nasz pierwszy dzień wolności. Dużo przeżyć i nerwów. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że wieczorem tego dnia podpisano kapitulację Niemiec i nastąpił koniec wojny.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że Neuhaus będzie należał do Polski, więc na drugi dzień spakowaliśmy swoje manatki, załadowaliśmy na drabiniasty wóz, tym razem zaprzęgnięty w dwa woły i ruszyliśmy w powrotną drogę do rodzinnych gniazd. Po drodze nie obyło się bez przygód. Najwięcej kłopotu sprawiały nam woły, kaleczące swoje racice o asfalt. To powodowało, że odległość 115 kilometrów pokonaliśmy w ciągu około pięciu dni. Niektórzy bardziej zniecierpliwieni towarzysze podróży zabrali swoje bagaże na plecy i samotnie podążyli do swoich domów. Jednym z takich był robotnik spod Tomaszowa pracujący przez wiele lat w Niemczech, powracający w prawie nowych, zdobycznych butach z cholewami i z okazałymi tobołkami. Po jednym dniu od rozstania z nami spotkaliśmy go siedzącego w rowie i czekającego na nas, ale już bez tobołków i bez butów. Okazało się, że jego rzeczy spodobały się przejeżdżającym żołnierzom rosyjskim.

Jednego dnia, po wielogodzinnym marszu usłyszeliśmy wzmagający się szum, który zamienił się w łoskot. Z początku wydawało się, że leci eskadra samolotów. Niebo jednak było czyste, nawet bez chmurki. Przed nami na wzniesieniu drogi pojawił się rój ruchomych punkcików, które stopniowo powiększały się i zbliżały do nas. Gdy byliśmy już w odległości umożliwiającej rozpoznanie ruszającego się mrowia, stwierdziliśmy, że jest to kilkudziesięciuosobowy oddział Armii Czerwonej jadący po asfalcie rowerami na samych metalowych obręczach.

W Niemodlinie przy rynku, w remizie strażackiej mieściła się komenda wojsk rosyjskich, w której dokonano kontroli naszych dokumentów i dobytku. Zabrano rzeczy, które mogły być potrzebne wojsku. Mnie zdobyczny aparat fotograficzny, a mamie Rosjanka skonfiskowała jedwabną koszulkę. Chyba był też tam punkt PCK lub repatriacyjny, który wystawiał zaświadczenia o powrocie do kraju.

Po drodze zdarzał się handel wymienny. Ciekawe były transakcje z żołnierzami sowieckimi, którzy specjalizowali się w sprzedaży rowerów za wódkę na początku miasta i rekwirowaniu tychże na końcu miasta. Mama znalazła gdzieś trochę pościeli i fajansu, a ja w przydrożnym rowie wojskową aluminiową manierkę w sukiennym futerale z bakelitową szklaneczką. Gdzieś koło Opola przechodziliśmy przez wieś, w której na domach wisiały polskie flagi, a chłopci-autochtoni z biało-czerwonymi opaskami pilnowali swoich gospodarstw. W Opolu zobaczyliśmy pierwszych polskich żołnierzy. Różnili się od tych sprzed wojny i tych z powstania. Szczególnie ich orzełki na czapkach były jakieś inne. Ucieszyliśmy się jednak na ich widok.

Dotarliśmy do stacji kolejowej Fosowskie, kilkanaście kilometrów od Lublińca, z której kursowały już pociągi w głąb Polski. Kolejarzom, w wysłużonych granatowych rogatywkach z orzełkiem, oddaliśmy woły do ich stołówek, sami natomiast zatłoczonym pociągiem udaliśmy się do Częstochowy. Po wielu godzinach oczekiwania wdrapaliśmy się na wagony z węglem i dobrnęliśmy do Kuluszek. Stamtąd do Końskich, w których zatrzymaliśmy się u ciotki Ruraszowej, a potem wozem konnym do rodziny ojca w Maleńcu. Jakimś cudem o naszym powrocie powiadomiono moją siostrę Olę, która wysłała nam naprzeciw. Powitanie było pełne łez.

W Maleńcu przyjęto nas bardzo serdecznie. Dowiedzieliśmy się, że Ola była już w Warszawie i że mieszkanie na Chmielnej ocalało. Do stolicy pojechały mama z siostrą, a ja zostałem na wsi. Przez półtora miesiąca chodziłem tam do szkoły, żeby co nieco przypomnieć sobie przed pójściem do gimnazjum. Pomagałem stryjowi Stefanowi, samotnemu kawalerowi w jego dwuhektarowym gospodarstwie. Zajęcia w rolnictwie nie odpowiadały mi, może dlatego, że byłem wysoki i słabej kondycji fizycznej. Dłonie miałem drobne i nienadające się do ciężkiej pracy. Postanowiłem dostać się do gimnazjum i w tej decyzji wspierała mnie mama z siostrą. Z takim celem w końcu sierpnia 1945 roku jechałem do swego rodzinnego miasta, mając za sobą stracony rok szkolny, ale zdobyte życiowe doświadczenie. Nabyłem w tym czasie szacunku do pracy fizycznej, bo trochę ją poznałem.

W niespełna rok po wypędzeniu znowu znalazłem się w swojej kamienicy, w swoim mieszkaniu. Mama z Olą w maju 1945 roku przejęły od pilnującego naszego dobytku rzeźbiarza Gollera zakład i mieszkanie. Oto co pozostało: 4 warsztaty, które dla stolarzy są ich podstawowym stanowiskiem pracy, trochę narzędzi i materiałów, część starych mebli, stłuczone tremo i małżeńskie łóżko bez materaca. Odzież, bielizna, sprzęt gospodarczy oraz rzeczy zamurwane w piwnicy – znikły. Na piwnicznej podłodze ostały się, wysypane z pudełka po butach, resztki podeptanych fotografii. Cieszyliśmy

się jednak, że dom stoi a my mamy gdzie mieszkać. Nie wyobrażam sobie rozpaczki tych, którzy po powrocie zamiast domu zastali tylko gruzowisko.